

STYL ANTIQ
OLIMPE BRADNA

Nr. 47

Goście z Warszawy

ANTONI WYSOCKI

WSPOMNIENIE

Na linji kolejowej warszawsko-wiedeńskiej ostatnią stacją od Warszawy ku Galicji była stacja o nazwie Granica. Gdy pociąg z Królestwa wjeżdżał na tę ostatnią stację graniczną, oczy podróżnych uderzał na peronie widok żandarmów, rosłych pleczystych, o twarzach kałmuckich, brodatych, wyprostowanych służbiście, wzdłuż nadjeżdżających wagonów. Nie można było wysiąść z przedziału, gdyż przedtem żandarm wchodził do wagonu dla odebrania paszportu, celem przeglądnięcia go w kancelarji dworcowej, czy wystawiony formalnie i zaopatrzony w wizę konsula austrjackiego. Po godzinie wsiadał pasażer na tym samym dworcu w pociąg inny, austrjacki. Znów żandarmi wchodzili do przedziału, z teką natkaną paszportami.

— Kak wasza familja?

To znaczy — jak pańskie nazwisko?

Broń Boże było pomylić się, jeśli kto jechał za paszportem cudzym i pod nazwiskiem przybranem, wtedy z miejsca areszt, śledztwo i dalsze smętne konsekwencje.

O ile jednak moment zwrotu paszportu nie doznał jakichś niespodzianek, jechało się dalej o jedną stację, już na obszarze Galicji, i tam w tej stacji, Szczakowej, rzeczy poddawane były rewizji.

Za powrotem rewizja w Granicy. Odbywała się gładko, lekko, jeśli tylko w walizach nie znachodziły się książki, druki, skrypty. Urzędnik, asystujący przy tragarzu wywracającym rzeczy w walizach, umiał po polsku, i z uprzejmym uśmiechem wertował książki, czasem je konfiskował, z tem, że można się po nie zgłosić w Warszawie, w urzędzie cenzury.

Trzeba było zachować minę dobrą, gęstą, bo płochliwa czy niewyraźna, nasuwała podejrzenie o przestępstwo polityczne lub co najmniej celne.

Zdarzały się komiczne epizody.

Ziemianie z Królestwa zaopatrywali się w Krakowie w wyprawy dla córek, bieliznę i srebra. Wtedy cała rodzina była obładowana jak wielbłąd w podróży.

Pewnego razu na stacji Granica ziemianin z Kieleckiego, pan Aleksander Kęszycki, dźwigał pod futrem, na plecach lustro w platerowych ramach. Przed wejściem do wagonu spacerował sobie po peronie, a że mu było gorąco, zsunął futro z ramion i lustrem jak słońcem oświetlał peron. Zapłacił za to roztargnienie sporą karę pieniężną i w dodatku stracił lustro, a i srebra, które pod sukniami przewoziły jego panie, żona i córka.

Inne zdarzenie..

Pani Iks przewoziła koronki i poufnie wyznała to przestępstwo celne, wygadała się jakiemuś sympatycznemu towarzyszowi drogi. Paszport miała w porządku i gdy na stereotypowe zapytani żandarma, „kak wasza familja?", wymieniła swe nazwisko, czuła się najpewniej, że jak nic przemknie się ze swym przemytem przez granicę. Jakże się zdumiała i przeraziła„ gdy została zaproszona do oddzielnej izby dla poddania się osobistej rewizji. Kto ją zadenuncjował? zdradził? Kto? Czy nie ów elegancki towarzysz jazdy? On! Nie było wątpliwości. Cóż za cynizm! W dalszej drodze, gdy po konfiskacie koronek i zapłaceniu słonej kary, jeszcze nie ochłonęła z wrażenia, zdradliwy współpasażer przeprasza, składa ręce, błaga o przebaczenie. Przyznaje, nie zaprzecza i hojnie, gotówką, wynagradza doznaną szkodę. Co? Dlaczego? Zadenuncjonował ją, nadużył zaufania. Tak. A to dlatego, żeby uniknąć podejrzenia i bardziej skrupulatnej rewizji swego kufra o podwójnem dnie, w którem przemycał biżuterję, o wiele, w krocie, wyższej wartości niż koronki gadulskiej i zapłacona przez nią grzywna celna.

Było to „w dawnych, dobrych czasach" przed Wielką Wojną. Takie różne epizody, nieraz, niestety, tragiczne, zatruwały atmosferę przejazdu i atmosferę wspomnień. Dopiero od Granicy, od stacji Szczakowa, zaczynała się „wolność". Bądź co bądź, inne było powietrze, niż pod zaborem rosyjskim i pruskim. Kto mógł, walczył, kto nie mógł, uciekał chroniąc się przed rosyjską przemocą, rosyjską i pruską.

Czas hakatystycznej w Wielkopolsce, na Śląsku i Pomorzu polityki Bismarka, kanclerza Rzeszy Niemieckiej, i w Królestwie azjatyckich rządów generałgubernatora Hurki.

Nadawano w Galicji psom nazwisko Bismarcka. W Krakowie w Sukiennicach w cukierni Rehmana najpopularniejszemi były ciastka Bismarcki, z pianką z kremu, wyobrażające szczyt łysej głowy, z kilku z niej sterczącymi ostro jak igły uciętymi migdałami, przedstawiającemi kilka włosów na łysej głowie. Słodką była zemsta schrupać takiego Bismarcka!

Przez scenę teatru szły w „Betleem Polskiem" Lucjana Rydla dzieci z Wrześni, skatowane przez pruskiego nauczyciela za odezwanie się po polsku. Symbolem niezłomnych uczuć narodowych był „Wóz Drzymały", ślad walki chłopa polskiego z rządem i hakatą, związkiem, działającym pod nazwą złożoną z pierwszych liter H. K. T., Niemców, Hasemanna, Kennemanna i Tiedemanna.

W Krakowie też znane były obok nazwiska generałgubernatora, satrapy, Hurki, złowrogie nazwisko cenzora warszawskiego Jankulia i kuratora Apuchtina. Nie schodziły ich wyczyny ze szpalt dzienników, „Czasu" i „Nowej Reformy", i humorystycznego tygodnika „Djabeł".

Tak naprzykład w „Djable" przedstawiała karykatura scenę, jak Apuchtinowi, spoliczkowanemu przez studenta rusyfikatorskiego uniwersytetu, z odbitemi na policzku pięciu palcami, car, wówczas Aleksander III-przypina na piersi order.

Tragikomiczne wiadomości przynosiła plotka na temat zatargów między Hurką a oberpolicmajstrem Klejgelsem. Darli koty u władzę, Klejgels, służbista, wyjątkowo nie łapownik, starał się przeciwdziałać zarządzeniom Hurki, o ile te miały charakter nadużyć, żeby tak rzec, prywatnych. Gdy żona Hurki, Marja Andrejewna, wysyłała wykradzione z Zamku i Łazienek dzieła sztuki do majątku Hurków w Rosji, żandarmi już na dworcu towarowym przyłapali skrzynie przygotowane do wysyłki, i Klejgels, w porozumieniu z Petersburgiem, udaremnił rabunek. Naturalnie że nie w imię interesów polskości, ale, bo oba te budynki, Zamek króla Zygmunta III-go i Łazienki Stanisława Augusta były rezydencjami cara, podczas jego do Królestwa przyjazdów.

Zatarg tych dwóch dygnitarzów oddziaływał, pomimo woli, korzystnie na sprawy polskie, rzecz prosta, o ile to wtedy było możliwe.

Albo znów taki kawał.

W Warszawie do księgarni Gebethnera i Wolffa, wówczas czynnej dla rozwoju polskiej kultury, wpada zgraja szpiclów, z rozkazem urzędu gubernialnego, przeprowadzenia rewizji za wydawnictwami nielegalnemi. Zarząd księgarni prosi o krótką zwłokę, nim wyjdzie przebywająca w lokalu publiczność, zabawia szpiclów rozmową, a tymczasem, przewidując podstęp, daje znać Klejgelsowi. Nadjeżdżają w te pędy żandarmi i odbywają rewizję, nie księgarni ale tych którzy mieli rewizję przeprowadzić. I cóż się okazuje? Szpicle obładowani byli nielegalną, patrjotyczną i socjalistyczną bibułą, którą mieli podrzucić między wydawnictwami firmy i „odkryć" zbrodnię stanu. Skutek byłby wiadomy. Wydawcy do więzienia, majątek obłożony kontrybucją, księgarnia zamknięta. Tak zaś skończyło się na skompromitowaniu policji, i wreszcie po tej i innej nieudałej sztuczce na przeniesieniu generałgubernatora Hurki w stan spoczynku.

Co się działo na prowincji — tomy pisać. Samowola poszczególnych kacyków, przekupstwo, donosicielstwo, prowokacja — to same czarne karty w historjij administracji.

Społeczeństwo starało się bronić ducha młodzieży zakładaniem szkół tajnych. Jeśli szpiedzy taką szkołę wytropili, to wpadali do niej nagle„ przeszukiwali każdy kąt mieszkania i rewidowali nauczycieli i uczniów. Nauczycieli skazywano na wygnanie do odległych dzikich miejscowości w głębi Rosji, a uczniów oddawano pod dozór policyjny. Uczeń taki tracił prawo do poświęcania się wyższym studjom. Uczniowie szkół państwowych za rozmawianie po polsku, jak i za posiadanie i czytanie dzieł polskich poetów, otrzymywali tak zwany „wilczy bilet", co znaczyło, że do żadnej innej państwowej szkoły nie mogą być przyjęci.

Trzeba przyznać, że wyżsi wojskowi rosyjscy, o ile nie pochodzili z renegatów, Polaków zruszczonych lub Niemców, czuli pogardę dla metod akcji rusyfikatorskiej. Można rzec, że sympatyzowali z ludnością polską, mimo, że nie wyznawali się w stanie rzeczy. Oficerów nie przyjmowano w domach polskich, jak wogóle Rosjan. Nie! To było niemożliwe. Za to, z konieczności, stykano się z nimi na neutralnym gruncie.

Na przykład w Krakowie.

Zdarzyło się, że ktoś z Warszawy po przedstawieniu „Wesela" Wyspiańskiego, spotkał znajomego generała, który także po cywilnemu, był w teatrze.

— Jak panu generałowi podobało się?

Generał grzecznie chwalił, przyczem jednak wyraził zastrzeżenia co do osoby Stańczyka.

Stańczyk w „Weselu", grany w wizyjnej kreacji przez Kamińskiego, był w czerwonym z dzwoneczkami i kaduceuszem kostjumie błazna królewskiego, wedle obrazu Matejki.

Ale generał miał wątpliwość.

Przecież to tylko w operze Verdiego?...

— Prekrasno, sławno, no etawo ja nie ponimaju: poczemu tam Rigoletto?

Cóż było odpowiedzieć?

Nie brakłoby argumentów, bo wymiana kulturalnych wartości, w dziedzinie nauki, literatury pięknej, malarstwa i muzyki, nie znała granic.

A już najmniej w życiu towarzyskiem.

W komedji Michała Bałuckiego „Dom otwarty" Fujarkiewicz z Mościsk powtarza za krakowskim „Czasem", iż w karnawale „Lwów, Wilno i Poznań dały sobie rendezvous w gościnnym Krakowie". Możnaby do tych słów dodać, że podobnie bywało w erze przyjazdów na letniska, do Rabki, Krynicy, Szczawnicy, Rymanowa i innych kąpielisk galicyjskich.

Wśród przyjezdnych najwięcej było warszawiaków. Dłużej, po kilka lat, zostawali młodzi na studjach w Uniwersytecie Jagiellońskim, Akademji Rolniczej w Dublanach i lwowskiej Politechnice. Prócz panów ze starszego pokolenia, prócz zwykłych fili-

Dokończenie na str. 24-ej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER“ S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 ... kość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy ... mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m ... ie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% ... go. Żadnych zastrzeżeń co do ... przyjmujemy

Ogłoszenie warunków KONKURSU NA STRÓJ NARCIARSKI zostało z przyczyn niezależnych od Redakcji przesunięte do następnego numeru „Asa“

Numer 47 **Niedziela, 20 listopada 1938** ... **IV**

ASY NUMERU 47-GO:

Fot. „AS“

Dwudziestą rocznicę odzyskania Niepodległości obchodziła cała Polska niezwykle uroczyście. Miasta i wsie przybrały odświętną szatę, która w niejednym wypadku odznaczała się pomysłową i artystyczną formą. Szczególnie okazale wypadła dekoracja stolicy, przyczem na specjalne podkreślenie zasługuje oryginalna iluminacja, która Warszawę przemieniła w miasto świetlanej bajki. Na zdjęciu: Fragment placu Marszałka Piłsudskiego z pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego.

BLASK ROMY NAD AFRYKĄ



Oto wspaniała szosa wiodąca do Battisti, przypominająca najbardziej nowoczesne autostrady europejskie.

A Tripoli! A Tripoli! — krzyczały w roku 1911 rozentuzjazmowane tłumy w Neapolu, żegnając wzrokiem odpływające na pole walki okręty wojenne. Zapał ogarnął cały naród: wkońcu Włochy będą miały jak inne narody swe kolonje i wymażą z kart swej historji nieudaną aferę abisyńską z klęską pod Aduą jako momentem kulminacyjnym. Wnet też w każdem miasteczku, w każdej kawiarni, restauracji i na ulicach słychać było napisaną na cześć ekspedycji włoskiej piosenkę „A Tripoli“, śpiewaną z niezwykłą werwą.

Ubogi stosunkowo kraj, duża gęstość zaludnienia i coraz bardziej budzące się poczucia własnego politycznego „ciężaru gatunkowego“ musiały prędzej czy później spowodować rząd włoski do dania ujścia tym siłom narodu wciąż jeszcze niewykorzystanym, w kierunku kolonizacji. Włosi stosunkowo późno weszli na drogę, którą inne narody kroczyły już od wieków: wpierw Portugalczycy, Hiszpanie, Holendrzy, później Francuzi i Anglicy. A właściwie mogło być wręcz przeciwnie: przecież handel włoski, zwłaszcza handel wenecki i genueński już zdawiendawna miał styczność z krajami wschodu, z Konstantynopolem, Marokiem i innymi krajami Afryki, a kupieckie okręty włoskie docierały do wszystkich ważniejszych portów Czarnego Lądu. Na przeszkodzie stanęło oczywiście rozczłonkowanie Włoch na poszczególne drobne państwa: z chwilą też upadku w końcu XVIII wieku Wenecji i Genui, nie było komu prowadzić dalej polityki kupieckiej na wschodzie i południu, mogącej doprowadzić do normalnej kolonizacji. Pierwsza próba z Abisynją nie udała się: dopiero druga z Tripolisem dała zwycięstwo.

Czemże jednak w porównaniu z siłą ekspansywną Włoch przed wielką wojną są te siły żywotne, jakie wzbudził w narodzie faszyzm ostatnich lat! Naród włoski postanowił kroczyć szlakami, któremi szły rzymskie legjony — postanowił stworzyć nie państwo kolonjalne jak inne kraje, ale Imperjum, łączące wszystkie części w jeden wielki organizm. Zadanie wzbudzenia wiary w narodzie włoskim w jego posłannictwo, w możność restauracji czcigodnego Imperium Romanum było bezwątpienia trudniejszem jak same konkretne wojskowe i techniczne sukcesy w Afryce. Wpierw musiała zaistnieć myśl, a potem czyn, wpierw należało utwierdzić wiarę, a z niej płynęły logicznie dalsze faktyczne posunięcia.

I dziś Włochy stoją pod tym względem może u szczytu powodzenia: zdołały zarówno w swoim własnym kraju wykorzystać każdą piędź ziemi, jak też poddać użytkowaniu zdobytą ziemię w Erytrei i Libji i przygotować na olbrzymią skalę podobny stan rzeczy w Abisynji. Oczywiście, że taka impreza obliczona jest na dziesiątki lat: już to jednak, co widzimy dziś, napawa zdumieniem. Jak widać, wspomnienia z wielkiej historji rzymskiej, o Scypionie Afrykańskim, o zdobyciu Kartaginy, bogatej stolicy handlu i przemysłu, nie są tylko pustem słowem. O zdobyczach technicznych przekonywują nas fotografje, a liczni specjaliści spraw kolonizacyj-





Od lewej: Jak grzyby po deszczu powstają w Libji coraz to nowe osiedla włoskich kolonistów. Na zdjęciach miejscowość Bianchi położona w odległości 48 km. od Trypolisu.





Od lewej: W Libji wprowadzono nakładem nieraz wielkich kosztów nowoczesne urządzenia techniczne, pozwalające na rozwój rolnictwa: oto studnia artezyjska w centrum rolniczem 27 km. od Misuraty. Wielkie pastwiska bawołów znajdują się w okolicy Berce.

nych oświadczyli już nieraz, że Włosi kolonizują, nie zrażając sobie tubylców i nie traktując ich jak niewolników, lecz przywiązując do siebie i wpajając w nich przekonanie, że i oni w pierwszym rzędzie czerpać będą z postępu korzyści.

Po osuszeniu bagnistych okolic w samych Włoszech przyszła więc kolej na Libję. W ostatnich tygodniach olbrzymia flota z 20.000 kolonizatorów wyruszyła na cywilizacyjny podbój tego kraju. A raczej nie na podbój, a na wprzęgnięcie go w wielki obrót handlowy i przemysłowy, na puszczenie w ruch tej machiny, która gotowa czeka na maszynistę, coby umiał ją poprowadzić. Z samej Genuy starego portu handlowego, wyruszyło więc 13.000 chłopów, tworzących 1425 rodzin, uzbrojonych w łopaty, narzędzia techniczne, a przedewszystkiem w dobrą wolę i wiarę! Pochodzą oni ze wszystkich stron Włoch: z Sycylji, Kalabrji, Wenecji. Dziwna to doprawdy kolonizacja: zamiast walczyć z żywiołami, przedzierać się przez puszcze, polować na dzikiego zwierza, przyjadą do swych gotowych już domów, zbudowanych praktycznie, w stylu „kolonjalnym", ale odmiennym nieco od stylu angielskiego bungalow, w których zastaną wszystkie postępowe urządzenia, potrzebne w tych tropikalnych krainach. Każdy z tych domów obejmuje conajmniej trzy pokoje, z łazienką o bieżącej wodzie, oświetleniu elektrycznem, stodołą, zapasami jedzenia, w postaci mąki, oliwy, soli, ryżu itd. Lecz nietylko w domu znajdą wszystko, co potrzebne im będzie, aby móc spokojnie żyć i pracować: komunikację między rzadkiemi zresztą miasteczkami zapewniają wspaniałe szosy, przypominające autostrady w samej Italji, użyźnianie roli umożliwione jest istnieniem studni artezyjskich, duże stada bydła, zwłaszcza bawołów tak popularnych w Kampanji, staną się zawiązkiem bogatego chowu bydła w całym kraju. Tak rozpoczęta kolonizacja może dać nietylko chwilowy sukces gospodarczy, ale stanie się oparciem dla setek tysięcy pionierów, którzy w Afryce stworzą nową Italję, przesiąkniętą ich kulturą, pracą i będącą ważnym

Dokończenie na str. 7-mej.



Arabowie libijscy czerpią wodę ze studni celem nawodnienia ogrodów.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FRANCIS FUERST — PARYŻ.





Na lewo: Marszałek Balbo przyczynił się wysoce jako gubernator Libji do ucywilizowania tego kraju.

KĄCIK FILATELISTYCZNY: *Nowe znaczki polskie*

Nowa serja znaczków polskich — od góry ku dołowi: Bolesław Chrobry, Kazimierz Wielki, Władysław Jagiełło, Kazimierz Jagiellończyk, Zygmunt August.



Nowa serja znaczków polskich — od góry ku dołowi: Stefan Batory pod Wielkimi Łukami, Żółkiewski i Chodkiewicz, Konstytucja 3 Maja, Jan III pod Wiedniem, Dąbrowski, Kościuszko i Poniatowski.





Blok wydany w rocznicę odzyskania Niepodległości.

Takiej liczby nowych polskich znaczków i to wydanych w jednym tygodniu nie zanotowaliśmy od dnia, kiedy ukazała się w obiegu serja „Poczta Polska". Ale i owo „wydanie krakowskie", które liczyło wraz z gazetowemi i dopłatnemi znaczkami więcej sztuk, nie było nigdy do nabycia w całości przy okienkach pocztowych, podczas gdy teraz, w dniu XX rocznicy odzyskania Niepodległości, staliśmy się odrazu posiadaczami prawie całej serji, jakoteż i bloku.

Jeszcze przed kilku tygodniami zapowiedziano wydanie „karnetu", zawierającego całą serję. Wszyscy zbieracze zapytywali się, co to jest za nowy twór filatelistyczny i wyobrażano sobie nawet, że będzie to jakiś „monstre-blok" łączący 13 sztuk znaczków. Szereg osób (jednak napewno w mniejszej ilości, aniżeli się tego spodziewało M. P. i T.), wysłało pieniądze na owe znaczki nalepione w karnecie, które miały być stemplowane kasownikiem okolicznościowym, tymczasem aż do dnia dzisiejszego (16/XI) karnety nie dotarły do rąk wszystkich zamawiających! Nie jest to w porządku, bo jeśli M. P. i T. pobiera pieniądze za znaczki skasowane czyli pocztowo bezwartościowe, to powinno dostarczyć je natychmiast.

Twierdzenie, że organizacja takiej szybkiej wysyłki jest niemożliwa, nie może się oprzeć krytyce, bo w Stanach Zjednoczonych „Post Office Departament" wysyła w dniu emisji każdego znaczka tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy kopert opatrzonych kasownikiem pierwszego dnia wydania.

Ci, którzy chcieli zaryzykować — a amatorów znaczków czystych jest przecież zawsze mnóstwo, doczekali się w Krakowie np. chwili, gdy przy okienku specjalnem ujrzeli 11 bm. prawie całą serję wraz z blokiem. Brakowało tylko egzemplarzy za 2 i 3 złote, które pojawiły się w Krakowie, w tak znikomej ilości, że zostały wyczerpane przy okienku filatelistycznem już następnego dnia. Nie potrzeba dodawać, że bloków także zabrakło i niewiadomo czy pojawią się jeszcze kiedykolwiek na prowincji. Byłoby to naprawdę antypropagandą filatelistyki i uważamy, że każdy Polak ma pełne prawo do tego, aby mógł kupić znaczki jubileuszowe w najbliższym urzędzie pocztowym i to w dowolnej ilości. „Jest nas już legjon", mogą powiedzieć zbieracze. — „Płacimy aż nadto Ministerstwu za znaczki niestemplowane, które nigdy nie zostaną nalepione na listy, abyśmy nie mieli prawa stawiać swoich wymagań".

Każdy się zgodzi z tem, że nasze wymagania artystyczne uwzględnia się coraz lepiej i wykonanie nowej serji jest pierwszorzędne, ale dlaczego musimy stale pokonywać trudności związane z dostarczeniem naszym korespondentom nowości polskich?

Ocenę każdego znaczka z osobna pozostawiamy Czytelnikom, zanotujemy tylko, że nowa serja jest najoryginalniejszą ze wszystkich dotychczasowych, ale przy nieco większym formacie wyrazistość scen z naszych dziejów byłaby przecież oddana o wiele lepiej.

W. H.







Nowe znaczki polskie: na lewo wydanie okolicznościowe z okazji przyłączenia Zaolzia, w środku, najwyższa wartość serji jubileuszowej: Marsz. Piłsudski, na prawo znaczek za 1 zł, przedstawiający Powstanie Listopadowe.

Dokończenie z str. 5-ej.

bastjonem politycznym Włoch na Czarnym Lądzie.

Na tak wielką miarę rozpoczęta kolonizacja jest bezsprzecznie jednym z największych sukcesów faszyzmu i Mussoliniego: żaden naród, posiadający kolonje, nie umiał dotychczas przeprowadzić tego trudnego i niezwykle kosztownego zadania tak precyzyjnie i mądrze, jak właśnie Włosi. Nie jest to więc kolonizacja przypadkowa, spowodowana szukaniem przygód jednostek, nie mających już nic do stracenia, jest natomiast kolonizacją świadomą siebie, celów, zadań, „colonisazzione conscienta", jak ją określają Włosi. Potężny duch Mussoliniego, pamiętającego o tem, że przeludnione i biedne Włochy jak najprędzej muszą mieć tereny ekspansji gospodarczej i muszą rokrocznie zdobywać tysiące hektarów, na których rosłoby żyto, aby móc nastarczyć wymaganiom Macierzy, z iście rzymską dokładnością i logiką jest na drodze do rozwiązania zagadnienia, które tylu krajom nastręczało trudności nie do zwalczenia.

Ale ci koloniści są też odpowiednio dobrani: są patrjotami, wiedzą, że nie czeka ich tylko uprawa roli pod zboże czy jarzyny, ale też, że na tej ziemi wznosić się będzie część Wielkiej Italji, która w gwałtownem tempie nadrabia swe dawne zaległości, stając się wielkiem państwem kolonjalnem. To poczucie odpowiedzialności i przynależności do wielkiej idei, odzwierciedla się choćby w drobnym szczególe: koloniści noszą na piersiach odznaki z herbami swych prowincyj, jakby one miały im nasuwać na pamięć ich pochodzenie i łączność z rodzinną ziemią, którą pozostawiają poza sobą. Inny drobny szczegół obrazuje logikę tej akcji i jej cele: kolonizatorzy zabierają ze sobą jak najmniej sprzętów, niemal tylko to, co jest dla nich w drodze nieodzowne. Chciano, aby zaczęli nowe życie, aby nowe sprzęty otoczyły ich, dostosowane do nowych warunków i aby w ten sposób koloniści stworzyli nowe walory, nowe sprzęty, nowe artystyczne wyroby.

Nasze zdjęcia orjentują nas w tej olbrzymiej włożonej w kolonizację pracy: oto miejscowość Bianchi, nazwana tak od białych, kolonjalnych domów. Olbrzymia, wspaniała w swej perspektywie szosa prowadzi w głąb kraju. Wspaniała studnia artezyjska dostarcza rolnikom wody, stada bawołów pasą się na niedawno temu założonem pastwisku. „Roma locuta causa finita" — możnaby trawestować znane powiedzenie: Mussolini powiedział a Balbo i jego sztab wykonał. Należy się spodziewać, że wilczyca karmiąca Romulusa i Remusa — godło Rzymu — zdoła wyżywić swych wychowanków, skoro ma takich ministrów aprowizacji gospodarczej i... politycznej, jak Mussoliniego i jego współpracowników!

Mówiliśmy jedynie o kolonizacyjnych gospodarczych sukcesach Włoch. Ale z temi sprawami łączą się też momenty polityczne. O ile więc można snuć horoskopy z faktów bieżących, to wydarzenia ostatnich lat wykazały niezwykłą dynamikę kolonjalną Włoch przy równoczesnym spadku tejże dynamiki u Anglików i Francuzów. Gdybyśmy więc chcieli wnioskować z tych faktów, możnaby przypuszczać, że w przyszłości właśnie Włochy w dziedzinie kolonjalnej staną na wyżynie, na której utrzymywała się dotychczas Anglja i Francja, sukcesorki wielkich kolonjalnych państw Hiszpanów i Portugalczyków. **JGM.**



Jan Matejko: Batory pod Pskowem (fragment obrazu).

Na prawo: Kazimierz Junosza-Stępowski w roli Stefana Batorego w dramacie F. Goetla „Samuel Zborowski" na scenie krakowskiej.

MATEJKO i teatr

W rękopiśmiennej puściźnie po Janie Matejce prawie nie znajdziemy uwag, dotyczących jego stosunku do teatru. Zdawałoby się więc, że teatr nie wywierał na nim silniejszego wrażenia. Przeczą temu częściowo wspomnienia prof. Unierzyskiego, zięcia Matejki, zanotowane przez kustosza Domu Matejki w Krakowie i pieczołowitego badacza twórczości wielkiego artysty, Macieja Szukiewicza, wspomnienia, które mówią że prof. Unierzyski, jako narzeczony starszej córki Matejki — Heleny, często bywał z całą jej rodziną w krakowskim teatrze na przedstawieniach goszczącej tu opery lwowskiej. Przedstawienia operowe lubił Matejko, uważał je nawet za miłą i kulturalną po pracy rozrywkę. Poważniejszego znaczenia jednak w swem życiu tej rozrywce nie przydawał.

Być może, że wielki wizjoner naszej przeszłości historycznej udzielał wskazówek czysto teatralnych Józefowi Szujskiemu, autorowi wielu sztuk historycznych. Nie zachowały się jednak żadne dokumenty, któreby to przypuszczenie potwierdzały. Natomiast mamy dowody, że Matejko interesował się aktorami i rodzajem ich twórczości, że blisko współżył z Wincentym Rapackim i Mieczysławem Frenklem. Zwrócił na te stosunki Matejki pierwszy uwagę wspomniany już kustosz M. Szukiewicz.

Przed aktorem chętnie otwierał Matejko swą pracownię. Bywał u niego Rapacki, a o przyjaznym stosunku między nimi świadczą dedykacje Rapackiego na ofiarowanych Matejce egzemplarzach dramatów artysty krakowskiego teatru. Być może, że w archiwum rodzinnem Rapackich i Leszczyńskich znajdują się jakieś poważniejsze ślady zażyłych stosunków, a może nawet współpracy.

Z Mieczysławem Frenklem, występującym na krakowskiej scenie za czasów dyrekcji Koźmiana, zżył się także Matejko. Był to okres malowania przez niego „Kościuszki pod Racławicami" (rok 1885). Frenkiel grał wówczas rolę sir Tobiasza Czkawki w „Wieczorze Trzech Króli". Matejko musiał być zachwycony tą kreacją, bo, gdy pragnął znaleźć doskonałego modela do typu pijanicy wśród jeńców-Moskali, w malowanej przez się wizji Racławic, uprosił Frenkla na modela. Rzecz charakterystyczna dla twórczości Matejki, że mało w tej postaci pijaka-Moskala znajdujemy rysów Mieczysława Frenkla. W czasie seansów malarskich Matejko żywo dopytywał się Frenkla o rodzaj pracy aktorskiej, w szczególności o sposoby charakteryzowania się. „A to widzę, sztuka pańska jest mojej pokrewna — a z was wszystkich są niegorsi od nas malarze" — oświadczył Frenklowi Matejko, wysłuchawszy szczegółowych zwierzeń na temat wydobywania przez aktora zapomocą charakteryzacji indywidualnych wyrazów kreowanych postaci.

O stosunku Matejki do teatru, ściślej mówiąc twórczości dramatycznej, świadczy jeszcze jego sąd o „Balladynie" Słowackiego, sąd zanotowany przez Stanisława Tarnowskiego w monografji o twórcy „Grunwaldu" i „Batorego



Kazimierz Kamiński jako Stańczyk w „Weselu" Wyspiańskiego na scenie krakowskiej.



pod Pskowem". Pisze Tarnowski:

„Malując Żółkiewskiego w obrazie „Batory pod Pskowem", wykładał mi raz swój sposób rozumienia „Balladyny" Słowackiego", a komentarz — choć może niezupełnie przystający do dzieła — był bardzo uderzający i oryginalny. Podług niego „Balladyna" byłaby allegorją historji polskiej. Dwie siostry chowane razem w chacie, to początki niewykształconego społeczeństwa, — dziewczyna olśniona blaskiem rycerza i pożądająca jego dostatków dla siebie, to wyrabiające się z tego społeczeństwa rycerstwo, szlachta. Zabójstwo Aliny wyobrażałoby ucisk ludu wiejskiego, — zmowy Balladyny z Kostrynem, późniejsze konszachty z zagranicznymi panami, korona na głowie Grabca, przypadkowość i zbyt częstą nietrafność elekcyj. Filon zakochany w umarłej Alinie, sentymentalne rozczulanie życia, kładąc w ich usta najwyższy dramatyczny wyraz mocy, walki, lub targaniny wewnętrznej".

Już pierwszym swym utworem daje Wyspiański w formie dramatycznej malarską wizję Matejki („Batory pod Pskowem"). Fragment dramatyczny „Śluby Jana Kazimierza" jest słowną ilustracją do obrazu Matejki. „Wesele" Wyspiańskiego zapełnione jest matejkowskiemi wizjami: Stańczyka, czy Wernyhory. W ostatniem swem niedokończonem dziele dramatycznem, „Zygmuncie Auguście", dał Wyspiański wyraźne objaśnienie inscenizacyjne, żeby w scenie Unji Lubelskiej było „ugrupowanie jak na obrazie Matejki".

Niewątpliwie pod bardzo silnym wpływem twórczości Matejki pozostawał Lucjan Rydel, autor trylogji dramatycznej „Zygmunt August". W tym wypadku technika malarska płócien Matejki przeniesiona została żywcem na scenę. Wystawienie trylogji Rydla w krakowskim teatrze w roku 1912 było tego kapitalnem potwierdzeniem.

Aż do dnia dzisiejszego silnie ciąży na nas potęga wizji Matejki. Np. Ferdynand Goetel w dramacie „Samuel Zborowski" wziął postać Stefana Batorego z obrazu Matejki i postać ta ożyła w znakomitej interpretacji Junoszy-Stępowskiego. Również w innych utworach dramatycznych, w inscenizacjach teatralnych sztuk historycznych — żyje na polskiej scenie wspaniała malarska wizja genjalnego Jana Matejki.

swb.

Poniżej: Scena z aktu IV „Królewskiego jedynaka" — Zygmunt August (Adwentowicz) z królową Lizbetą (Zielińska) przyjmuje Radziwiłłów (Marjan Marjański i Włodzimierz Kosiński).





się nad ludem. Sąd, jaki Balladyna wydaje na siebie sama, to ten rachunek sumienia i postanowienie poprawy, jakich wyrazem był Trzeci Maj, a piorun, który ją zaraz potem zabija, to drugi i trzeci rozbiór. Rozwaga nasuwa argumentów wiele przeciw takiemu tłumaczeniu poematu, ale że ono jest bystre i ciekawe, zaprzeczyć nie można".

Oczywiście jest — ciekawe i warto je teraz przypomnieć, gdy „Balladynę" wznowiono w teatrach krakowskim i poznańskim. Bystre jednak to tłumaczenie nie jest, przeciwnie — zgoła fantastyczne.

Wielkość Matejki jako wizjonera tkwi przedewszystkiem, jak to nieraz słusznie podkreślano, w sposobie malowania twarzy, symbolizujących znaczenie historycznych chwil, wskrzeszonych przez artystę jako *memento* dla współczesnych mu i przyszłych pokoleń. Matejkowski sposób widzenia przeszłości wywarł silne piętno na naszej psychice i sposobie patrzenia na ludzi i czyny wczorajsze. Matejką przejął się do głębi przedewszystkiem Wyspiański.

„Nie zdajemy sobie nawet sprawy — pisze raz bardzo trafnie dr Kazimierz Krobicki — ile razy przez Wyspiańskiego przemawia do nas sam Matejko — ale i coś więcej, mianowicie ile razy Wyspiański staje się najidealniejszym komentatorem swojego mistrza, wydobywając czar matejkowskiej sugestji na światło dzienne w sposób genjalny i jedyny. Postacie Matejki żyją w naszych sercach, ale dopiero twórca gigantycznych wizyj, Wyspiański powołał je do „realnego"

Powyżej na lewo: „Zygmunt August" L. Rydla na scenie krakowskiej (rok 1912) — Część I „Królewski jedynak": Scena z II aktu, od lewej: Zygmunt Stary (Edmund Rygier), Stańczyk (Zygmunt Noskowski), królowa Lizbeta (Anna Zielińska), Zygmunt August (K. Adwentowicz), królowa Bona (Stanisława Wysocka), biskup Gamrat (Wacław Szymborski).



Na prawo: Część II trylogji Rydla „Złote więzy": Scena z aktu III - Zygmunt August (K. Adwentowicz) na posiedzeniu senatu na zamku w Piotrkowie.



Na prawo: Scena z aktu IV części II: Koronacja Barbary Radziwiłłówny (Wanda Jarszewska) na królową.

Po 20 latach

LUDWIK MASCHOFF

NOWELA

Panie dyrektorze, proszę o dwa tygodnie urlopu.

Dyrektor spojrzał na nią zdziwiony.

— Teraz, gdy pani według ustalonego repertuaru ma co drugi dzień występować?...

— Bez względu na to! Nawet bez względu na konsekwencje, jakie miałyby z tego wyniknąć.

— Pani przecież dobrze wie, że to jest niemożliwe, że ja teraz urlopu dać nie mogę. Z łatwością się każdy domyśli, że w pani i w gościnnych występach Elingera pokładam całą nadzieję utrzymania opery i dania zajęcia zespołowi. Z tego właśnie powodu sprowadziłem go z Berlina. Jestem przekonany, że przynajmniej przez te siedem wieczorów będzie teatr zupełnie wysprzedany. Za miesiąc powtórzę eksperyment z innym solistą. Ale Elinger bez pani, jako partnerki — także nie będzie dla publiczności atrakcją.

— Mimo to, panie dyrektorze i właśnie z powodu Elingera — proszę o urlop.

Dyrektor zwrócił na nią spojrzenie pełne wyrzutów.

— Chce pani to naprawdę uczynić? Czy zasłużyłem na to?

Dyrektor potrząsnął głową, jakby nie mógł pogodzić się z własną myślą.

— Wy artyści — odezwał się z gorzkim wyrazem twarzy, zawsze i wszędzie jesteście sami. Jeden drugiemu nie użyczy chwili powodzenia, ani jednego oklasku. Pani jest taką samą wielką artystką, jak on artystą. Hołdy, które przypadną Elingerowi w udziale, będą w tej samej mierze uznaniem dla pani.

— Pan mnie zupełnie fałszywie zrozumiał, dyrektorze, moje powody, dla których nie chcę się spotkać z Elingerem na scenie, są inne i głębsze.

— Głębsze powody? Pani chciałaby tylko umotywować żądanie urlopu jakiemiś głębszemi powodami, w których istnienie bardzo powątpiewam.

— Panie dyrektorze — jeżeli twierdzę, że tylko one zniewalają mnie do tego kroku...

Dyrektor potrząsnął niedowierzająco głową, a bujne, śnieżno białe włosy opadły mu w lokach na czoło i skronie.

— Skoro pan słowom moim nie daje wiary — mówiła w dalszym ciągu pani Burghardt — nie pozostaje mi nic innego, jak powód ten panu wyjawić.

— Może pani to spokojnie uczynić. Od dwunastu lat pracujemy razem — — —

— i od dwunastu lat znam pana — przerwała mu. — Dlatego jestem przekonana, że z tego, co panu powiem, nie przedostanie się ani słowo poza próg tego pokoju.

— Przyrzekam to pani.

Burghardt siadła w fotelu, założyła nogę na nogę, odłożyła torebkę i ściągając rękawiczki, poczęła mówić:

— Przed dwudziestu laty nie byłam tą sławną Burghardt, jaką dzisiaj jestem. Wtedy byłam Lolą Berger, skromną, początkującą, zaledwie dziewiętnastoletnią śpiewaczką, do której żaden dyrektor teatru nie miał zaufania i która sama nigdy nie wierzyła, że zrobi na scenie większą karjerę. W podobnem położeniu, ale już po kilkuletniej praktyce scenicznej, znajdował się młody, wiele obiecujący tenor Rudolf Elinger. — Wówczas byliśmy obydwoje zaangażowani na bardzo skromnych warunkach w pewnym teatrze prowincjonalnym. Zawsze, gdy Elinger śpiewał, byłam albo na widowni, albo za kulisami, z rozkoszą wsłuchiwałam się w jego śmiały, metaliczny głos, podziwiałam umiejętność oddechu, pewność uchwycenia tonu, przechodzenia z piano do forte... Uważałam go za wielkiego artystę i starałam się od niego możliwie dużo nauczyć. Elinger stał się dla mnie bożyszczem. Nie będę pana zanudzała drobiazgowem opowiadaniem, jak do tego doszło, krótko, niespełna po jednym roku, byliśmy z sobą zaręczeni, mieszkaliśmy w jednym pokoju i prowadzili wspólne gospodarstwo. Zawarcie naszego małżeństwa miało być kwestją kilku tygodni. Chodziło tylko o wydostanie dla niego jakiegoś papieru z urzędu stanu cywilnego. Z niecierpliwością oczekiwałam codziennie nadejścia poczty, pocieszając się myślą, że jeżeli dziś jeszcze ów dokument nie nadszedł, to nadejdzie napewno jutro... A tymczasem sprawa ta stała się dla mnie naglącą. Czułam, że zostanę matką. Elingerowi narazie o tem nie powiedziałam, sama nie wiem z jakiego powodu. Może obawiałam się, że zjawienie się potomstwa nie byłoby wówczas po jego myśli — przy tych skromnych dochodach — pan to rozumie! Nie chciałam mącić harmonji piękna naszej miłości... Zdawało się, że nic nie stanie na drodze do pełnego szczęścia. Bo szczęśliwą byłam i bez ślubu. Cóż piękniejszego, jak pierwsza prawdziwa miłość w dwudziestym roku życia? Tymczasem rozpoczęła tournée po operach europejskich Lydja Tatini. Może ją sobie pan dyrektor jeszcze przypomina, bo ja jej nigdy nie potrafię zapomnieć. Wówczas znakomita, ale jako kobieta już przekwitająca artystka. Wyprzedziła ją kolosalna sława i reklama. Tournée jej zmieniło się w triumfalny pochód od miasta do miasta. Oczekiwano jej niecierpliwie, bilety były już na tygodnie wysprzedane naprzód... Po kilku miesiącach zawitała na szereg gościnnych występów i do naszego teatru. — Wszyscy ulegliśmy czarowi jej głosu, ale najwięcej oczarowany był Elinger. W czasie antraktów siedział w jej garderobie, potem odprowadzał ją do domu, wracał dopiero nad ranem... Cały teatr począł już głośno mówić o ich miłości. Zwróciłam mu na to uwagę. Zaśmiał się tylko i odpowiedział, że kieruje się wyłącznie popędem uczucia i nie będzie sobie życia niweczył jakiemiś względami moralnego zobowiązania. „Ależ ja zostanę matką" zawołałam. To postaraj się o to, abyś więcej nią nie była, dał mi cyniczną odpowiedź. Cóż pozostało mi do wyboru? Spakowałam w czasie jego nieobecności rzeczy, położyłam na stole darowany mi przez niego pierścionek zaręczynowy i list, w którym mu doniosłam, że wraz z pierścionkieem zwracam mu jego słowo i wolność. Tego samego wieczora odeszłam. Na drugi dzień przyniesiono mi do garderoby list od niego. Zawierał on tylko jedno zdanie: „Potwierdzam odbiór pierścionka i dziękuję za zwrot wolności". To było wszystko po szczęśliwem, prawie rocznem pożyciu. W dwa tygodnie po tem zajściu, wyjechał z Tatini do Włoch. Słuch o nim zaginął — a u mnie rozpoczęła się tragedja życia, w której główną rolę gram do dzisiejszego dnia. Pan wie, że razem ze mną mieszka moja siostrzenica. Ma dzisiaj dziewiętnaście lat... Poznał ją pan na redukcie. Ta siostrzenica to córka moja i Elingera. On o tem nie wie. Po latach, przez kogoś zaufanego, dowiedział się mimochodem, że Lola Berger umarła. Po tym fakcie przyjęłam nazwisko Burghardt. Prawie zawsze w decydujących momentach mego życia, stawał mi Elinger na drodze. I nawet wtedy, gdy miałam już podpisać tak znakomity kontrakt w operze berlińskiej, przez przypadek dowiedziałam się, że Elinger również został zaangażowany. Kontraktu nie podpisałam, zrezygnowałam z wielkiej karjery i przyjęłam pańską propozycję. Teraz, po dwudziestu latach miałabym jako jego partnerka — — — To jest ponad moje siły, dyrektorze!

— Najzupełniej panią rozumiem — odpowiedział dyrektor — szkoda tylko, że pani wiedząc o tem, że od tygodni toczą się w tej sprawie pertraktacje, nie zwróciła mi przedtem na to uwagi. Teraz zapóźno, aby się cofnąć. Dzisiaj w nocy przyjeżdża Elinger, jutro przedpołudniem jest próba, wieczór pierwszy występ — — — Trudno! Panna Zimmer będzie musiała panią zastąpić. Kombinacje moje zostały przez to obrócone w niwecz. Boję się, że zamiast spodziewanego dochodu, powiększę tylko deficyt. — A gdy to nastąpi, los zespołu operowego będzie przypieczętowany. Nie pozostanie mi nic innego, jak scenę oddać wyłącznie do dyspozycji dramatu. Nie żywię do pani najmniejszego żalu — mówił, podając jej rękę — będzie zatem pani musiała być dla publiczności przez te dwa tygodnie chorą.

Dyrektor miał bardzo przygnębiony wyraz twarzy, a wychodzącej z pokoju pani Burghardt zdawało się, że oczy jego wypełniły się łzami.

Punktualnie o jedenastej rozpoczęto próbę. Nieoświetlona widownia zapełniała się ciekawymi... Każdy chciał usłyszeć Elingera, niektórzy go jeszcze nigdy nie słyszeli. Taka sława — Elinger!

Niespostrzeżenie weszła Lola Burghardt, siadła na uboczu w jednym z ostatnich rzędów, wsparła głowę na ręce i spojrzała na scenę. Jak on się zmienił! — myślała, patrząc na tę bajecznie rozwiniętą postać, która dla niej o tyle nie była obcą, że od czasu do czasu ukazywały się jego fotografje w różnych pismach ilustrowanych. Lola Burghardt przysłoniła oczy ręką: w wyobraźni swej ujrzała tę samą scenę z Toski, śpiewającego Elingera z przed dwudziestu lat, jeszcze o tej młodzieńczej, prawie dziecinnej twarzy, tylko głos, który teraz płynął ze sceny, był stokroć razy piękniejszy, silniejszy, pełniejszy — — — Tak śpiewać potrafi tylko skończony artysta. A Toska obok niego?... To nie była rola dla panny Zimmer. Jeszcze nie dorosła do tego, aby być partnerką Elingera. Tylko ona mogłaby partję tę zaśpiewać! Ona, jako jemu równa artystka! Jakaś myśl strzeliła pani Burghardt do głowy. Uchwyciła się jej: — już poczęła przyjmować konkretne formy. — „Dziś — albo nigdy, taka sposobność więcej się nie nadarzy!" — powiedziała sobie.

Drugi akt dobiegał końca. Mdło, matowo, bez wyrazu. Toska była niżej wszelkiej krytyki. Tak śpiewać można chyba na zapadłej prowincji, gdzie ludzie o śpiewie nie mają pojęcia, ale nie tutaj w operze... Niezadowolenie odbijało się na twarzy i w całem zachowaniu Elingera. Nie śpiewał już, markował tylko i patrzył na pannę Zimmer, jak na chórzystkę.

W czasie pauzy zwrócił się do dyrektora z wyrzutami:

— Nie miał pan dla mnie lepszej partnerki?

— Ta lepsza... zachorowała... jest na urlopie...

— Ta jest skandaliczna!

— Wieczorem będzie napewno lepsza!

Dyrektor poszedł do swego pokoju, siadł przy biurku i ciężko wsparł głowę na rękach.

Ciąg dalszy na str. 12-ej.

NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 cennych nagród!





„Ostatni wieczór" — Fot. Stefan hr. Wodzicki, Kościelniki.

Na lewo: **„Na Świnicy"** — Fot. Piotr Mamcarz, Zakopane.

Na prawo: **„I ja chcę być posągiem"** — Fot. inż. Wł. Miskiewicz, Dębica.





Na lewo: **„Przystań na Rybnicy"** — Fot. Fr. Wiśmierski, Kołomyja.

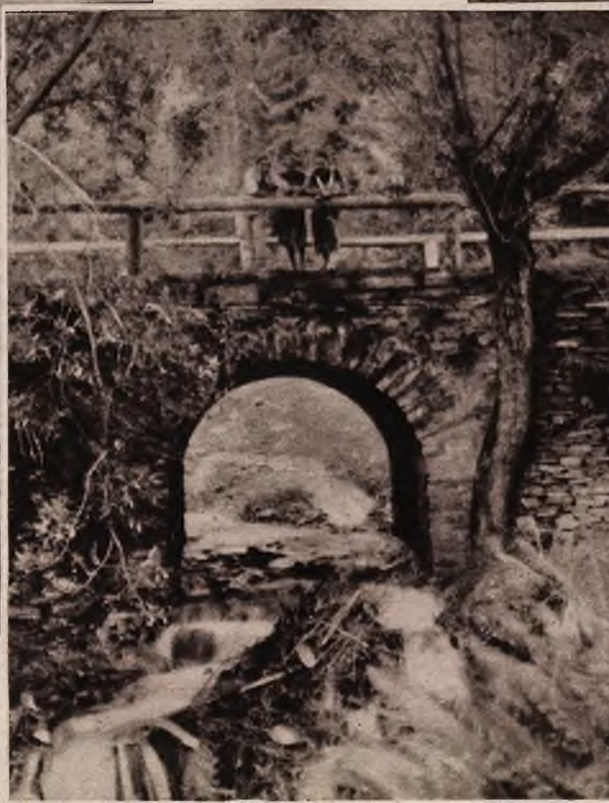
Na prawo: **„Na Skawie"** — Fot. Czesław Daniło, Wadowice.

Poniżej: **„Most westchnień"** Fot. dr. Ignacy Kleszczyński, Kraków.





„Nad wodą" — Fot. Anna Obfidowicz, Lwów.





„W drodze do Czarnego Stawu" Fot. Marjan Piekarski, Kraków.

Ciąg dalszy ze str. 10-ej.

— Przedstawienie wieczorne będzie blamażem pierwszej klasy — pomyślał. — Drugi raz na Toskę w tej obsadzie już nikt więcej nie przyjdzie. Cała kombinacja z Elingerem będzie fiaskiem finansowem. Stoję przed ruiną.

Cicho otworzyły się drzwi — do pokoju weszła Lola Burghardt. Stanęła przy biurku naprzeciw dyrektora. Widziała rozpacz tego człowieka, cała beznadziejność położenia odbijała się w spojrzeniu, jakie na nią skierował.

— Chce pani jeszcze czegoś odemnie? — zapytał bezdźwięcznym głosem.

Stała przed nim, nie wiedząc, co mu odpowiedzieć. Nie wiedziała, czy zdradzić się, z jakiem właściwie postanowieniem przyszła do niego. Ale on ją zrozumiał.

— Dzisiejszy wieczór będzie straszną kompromitacją, obawiam się, czy występy Elingera nie przyspieszą tylko katastrofy. Zimmer jest w tej roli niemożliwa.

— Dzisiaj wieczór śpiewam Toskę — odparła krótko Burghardt.

— Pani?...

— Prócz tego rezygnuję z urlopu. Jestem do dyspozycji pana na wszystkie wieczory — wypowiedziała jednym tchem.

— Taką ofiarę chce pani ponieść? — spytał niedowierzająco.

— Dla ratowania przyszłości zespołu. Ale stawiam jeden warunek.

— Zgóry go akceptuję.

— Do ostatniej chwili nie będzie nikt wiedział, że wystąpię dzisiejszego wieczoru.

Dyrektor ujął jej rękę i silnie uścisnął.

— Serdecznie pani dziękuję — od siebie i w imieniu całego zespołu.

Następnie dał zlecenie, aby próbę natychmiast przerwano. Poco męczyć niepotrzebnie ludzi?

Wieczorem o siódmej było mimo oczekiwania światło w garderobie pani Burghardt. Przed garderobą panny Zimmer czekał służący, który jej oznajmił, że pan dyrektor prosi ją do siebie.

— O co chodzi?

— Bardzo mi przykro — począł wolno mówić, widząc jej zaniepokojenie — ale zaszła ponowna zmiana dyspozycji. Pani zastąpi panią Burghadt dopiero po gościnnych występach Elingera.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj jest pani wolna.

Na widowni już się ściemniło. Orkiestra rozpoczęła uwerturę. Początek aktu przeszedł bez wrażenia. Elinger z brawurą i pewnością doświadczonego aktora odśpiewał dialog z mnichem, oszczędzając głosu na arję. Swobodnie poruszał się na scenie, może nawet nieco szarżował — — — Nagle weszła Toska — rozpoczęła modlitwę. — Elinger patrzył na nią i z każdą sekundą opanowywało go większe zdenerwowanie. Przedewszystkiem, uwagę jego zwróciła na siebie swym przepięknym głosem. — „To przecież nie jest ta, która przedpołudniem śpiewała na próbie" — — — I wyższa od niej — dojrzalsza. — Przypatrzył się jej uważniej... Takie znane rysy twarzy, — skąd? Czyżby ją już kiedy widział? Spotkał na występach? Począł się myślą cofać wstecz, szukać pomiędzy znajomemi twarzami — nagle zadrżał — czyżby Lola Berger? Przecież ona od piętnastu lat nie żyje. A ta wygląda tak, jakby dawna Lola stała przed nim. Czy to możliwe? Ależ z całą pewnością! To ona — teraz najdokładniej ją poznaje. — — — Cała przeszłość odżyła mu teraz w wspomnieniu, w tej modlącej się Tosce ujrzał dawną Lolę — ową młodą, utalentowaną śpiewaczkę, marzącą o sztuce i sławie. — — — Zmieniła się! Tyle lat! A jak dźwięcznym stał się jej głos!

Elinger zapomniał na kilka sekund o rzeczywistości. Zapomniał, że stoi na scenie, zdawało mu się, że żyje jeszcze w czasach swych pierwszych występów, że ta mała kochana Lola przysłuchuje się nabożnie, jak on się w domu uczy partji napamięć, że zaraz przybiegnie do niego, zarzuci mu ramiona wokół szyji i powie: „Jak pięknie to śpiewałeś!"

Z zamyślenia zbudziło go gwałtowne pukanie kapelmistrza laseczką o pulpit, — jego rozpaczliwe znaki.... Nagle cisza — orkiestra wstrzymana — Elinger oprzytomniał — Toska skończyła modlitwę — porozumiewawcze spojrzenie z kapelmistrzem — i już śpiewa swą partję dalej. Ale zdenerwowanie jego spotęgowało się. Stał się od tej chwili niepewny. Ze sto razy występował już w Tosce, a dzisiaj nie opuszczało go przeświadczenie, że nie umie jeszcze tekstu i melodji. Bez przerwy patrzył na kapelmistrza, na jego znaki, dzięki czemu ruchy jego straciły na swobodzie, stały się sztywne... Arję odśpiewał rozwlekle, tak, jak jej jeszcze nigdy w życiu nie śpiewał, nie uwzględnił ćwierć taktowej pauzy, orkiestra musiała go doganiać — — —

Po skończeniu pierwszego aktu, rozległ się na widowni huragan oklasków. Elinger mocą przyzwyczajenia chciał wyjść kłaniać się, ale wstrzymały go wołania: „Burghardt! Burghardt!" — — — Wyszła przed kurtynę, dziękując za uznanie. A gdy po raz wtóry ją wołano i razem z nią ukazał się Elinger, aby przyjąć posłany mu przez dyrekcję wieniec, poszmer niezadowolenia przeszedł przez widownię a gdzieś z galerji rozległ się okrzyk: „Pfuj Elinger". Głos ten utonął w oklaskach i wołaniach: „Burghardt! Burghardt!" — — —

Do niej należał wieczór. Być może, że jeszcze nigdy nie śpiewała z takiem przejęciem, z takim skończonym artyzmem, jak tym razem. A gdy już po raz czwarty lub piąty wyszła przed kurtynę, dziękując za brawa i publiczność wkońcu przestała ją wywoływać, pobiegła do garderoby. Zamknęła za sobą drzwi na klucz, usiadła ciężko na fotelu, stojącym przed lustrem i wsparła głowę na rękach. I ona była podniecona i w niej odbywała się walka zimnego rozsądku z odżywającem uczuciem. Tylko przetrwać do końca, a osiągnę to, o czem tyle lat marzyłam. Tylko przetrzymać — powtarzała.

Elinger wybiegł ze sceny, jakby runąć miały na niego wszystkie rusztowania, biegł zdenerwowany przez korytarz, nie wiedząc dokąd zmierza. Pienił się z wściekłości. Wiedział, że pierwszy akt wypadł dla niego fatalnie, skompromitował się w tem mieście na całe życie. Czy w drugim lub trzecim akcie uda mu się sytuację uratować? — A przez kogo? Przez tę przeklętą Toskę. Przez jej podobieństwo do tej Berger. Jakby przypadkowo spotkał dyrektora, który zdążał do swego pokoju.

— Panie dyrektorze — zawołał, stając przed nim — kto śpiewał Toskę?

— Pani Burghardt.

— Burghardt? To jej nazwisko czy pseudonim?

Dyrektor wzruszył ramionami.

— Co się pan mnie o to pyta? — I poszedł dalej.

W głosie jego drżała jakaś wrogość, niechęć, ironja. Do tego Elinger nie był przyzwyczajony. Dotychczas zwracano się do niego z wyszukaną uprzejmością. Ceniono w nim wielkiego artystę — a tu? Zatrzymał przechodzącego chórzystę.

— Gdzie jest garderoba pani Burghardt?

— Numer 17.

Pobiegł dalej przez korytarz — odnalazł ją — zapukał do drzwi — — —

— Kto tam?

— Tu Elinger. Czy mógłbym z panią kilka słów zamienić?

— Teraz nie. Nie jestem ubrana — może w czasie następnego antraktu.

W następnym antrakcie dała mu tę samą odpowiedź. A w trzecim akcie odśpiewał Elinger wskutek zdenerwowania główną arję tak fatalnie, że ani jedno klaśnięcie nie rozległo się na widowni, chociaż zwykle po tej arji zbierał oklaski przy otwartej kurtynie, a niekiedy pod przymusem niemilknących braw, musiał ją powtórzyć jeszcze raz. Dzisiaj cisza zaległa na widowni, a wiała z niej taka oziębłość, że krew w żyłach zastygała. Gdy kurtyna zapadła, rozległ się w teatrze huragan oklasków i wołań: „Burghardt! Burghardt!" — Tylko ją chciano widzieć, tylko jej składano hołdy i dla niej urządzano owacje.

Elinger stał za dekoracją, zacisnął zęby i rozmyślał rozgoryczony nad sytuacją. Takiego występu gościnnego jeszcze nie przeżył...

Pani Burghardt, nie przebierając się, narzuciła na siebie płaszcz i wybiegła z teatru. Przed bocznem wyjściem czekało na nią zamówione auto.

Gdy Elinger pukał po raz trzeci do jej garderoby, powiedziano mu, że pani Burghardt już dawno poszła.

I ona również nie przywiązuje żadnej wagi do tego, by z nim mówić. — Coś podobnego!

Wyszedł z teatru, nie chcąc nikogo widzieć, nie być w niczyjem towarzystwie, błąkał się czas jakiś po ulicach, potem wstąpił na kolację do podrzędnej restauracji, aby nie zwrócić na siebie uwagi i poszedł do hotelu.

Rano przyniesiono mu żądane przez niego gazety poranne. Jeszcze nigdy nie rzucił się z takiem zainteresowaniem na recenzje z dnia poprzedniego, jak teraz. Odszukał je i czytał: „Bohaterką wieczoru była pani Burghardt, która po raz nie wiedzieć który, dała znowu dowody swego niezwykłego artyzmu. Publiczność nie szczędziła oklasków i uznania, przechodzącego w długotrwałe owacje.

Pan Elinger, który zawitał do nas jako gość ze stolicy — zawiódł i rozczarował. Przyznać należy, że odczuwało się w nim rutynowanego śpiewaka, obytego ze sceną, którego sława ubiegłych lat przywołała u nas wspomnienia jego niezapomnianych kreacyj, dzięki czemu milcząc przebaczono mu wczoraj zbyt liczne niedomagania. Nie można twierdzić, aby głos jego stracił na pięknie barwy, ale pan Elinger postarzał się już. W jego śpiewie trudno byłoby doszukać się młodzieńczego zapału, natomiast cechuje go jakaś oziębłość, dezorjentacja, zbyt częste poleganie na dyrygencie, co powoduje opóźnienie jakiejś frazy — lub opuszczenie ćwierć- czy półtaktowej pauzy, czego świadkami byliśmy kilkakrotnie na wczorajszym wieczorze. Nie jesteśmy poinformowani, co skłoniło dyrekcję do zaproszenia tego śpiewaka itd.".

W drugiej, trzeciej i czwartej gazecie, jaką czytał, krytyki były podobnej treści. On, który dochodzi dopiero do zenitu swego rozwoju artystycznego, jest uznany za starego — za sławę ubiegłych lat! — I to wszystko dzięki zagadkowemu spotkaniu z jakąś Burghardt — — — Przecież Lola nazywała się Berger, starał się sam siebie uspokoić, a powtóre — przecież ta Lola już od tak dawna nie żyje! Czemuż się niepotrzebnie denerwować tem wszystkiem? Ale czemuż znowu ta Burghardt nie chce ze mną mówić? Unika mnie? Ucieka przede mną?

Dość miał tego wszystkiego. Zebrał się szybko i pobiegł do teatru. Chciał dowiedzieć się prawdy, zdobyć wyjaśnienie wczorajszego niepowodzenia...

Dyrektor przyjął go oziębłe, jakby mu chciał w ten sposób wyrazić ogrom żalu, jaki czuł do niego. Na biurku leżały poranne gazety... Więc on je także już czytał...

— Panie dyrektorze, czy wczoraj było naprawdę tak źle, jak te piśmidła twierdzą? — spytał, wskazując lekceważącym ruchem ręki na dzienniki.

— Było jeszcze gorzej, aniżeli pan to przypuszcza. Krytyki bardzo oględnie o tem

Dokończenie na str. 20-ej.



PRACA LUDZI MORZA

Fot. André Diènes, Paryż

Dlaczego CIĄGLE BRAK CI CZASU?



Telefony są udręką dla ludzi pracy...

Zjawiska społeczne ogólnie znane, których istnienie nie ulega żadnej wątpliwości, niejednokrotnie stają się temsamem zjawiskami uznanemi. Wywołuje to niechęć do zastanawiania się nad ich istotą, przyczem istnienie ich przyjmuje się jako konieczność. Jeśli są to zjawiska szkodliwe i dokuczliwe, to wspomniany brak aktywnego ustosunkowania się do nich przejawia się w niechęci do walki z niemi i do szukania jakiegoś na nie lekarstwa. Ciekawe jest, jak człowiek — istota tak bądź co bądź pomysłowa, rozumna i czynna — z drugiej strony, zdolny jest do gromadnego zobojętnienia wobec ujemnych i dokuczliwych przejawów życia swej epoki. Dopiero gdy zło zaczyna przybierać rozmiary wprost karykaturalne, budzi się nagle, nieraz ni stąd ni zowąd, reakcja, rewolucja i zrzucenie jarzma, przeważnie zresztą po to, by pójść pod inne, nowe jarzmo.

Tak zwane „zawrotne tempo życia nowoczesnego" jest jednym z takich właśnie oklepanych truizmów, wszyscy o tem wiedzą i wszyscy raczej z biernym smętkiem konstatują, że jak tak dalej pójdzie, to świat zamieni się w dom warjatów. Wprawdzie wizje nowoczesnych urbanistów, jak np. Corbusier, ukazują nam fantastyczne obrazy miasta przyszłości, tak urządzonego, że życie w niem biegnąć ma jak na świetnie naoliwionych łożyskach kulkowych, ale narazie żyjemy w piekle hałasu, ciasnoty i pośpiechu, z odpowiednio nastrojonymi nerwami.

Objawem chyba najbardziej bezpośrednim i może najdokuczliwszym tego tempa dzisiejszego życia, jest chroniczny brak czasu i pośpiech, na który cierpimy wszyscy. Że dziś pojęcie człowieka pracującego pokrywa się z sylwetką człowieka żyjącego w ciągłym pośpiechu, to chyba nic dziwnego, skoro doszło już do tego, że nawet próżniaki śpieszą się nieustannie, co jest objawem wprost zastanawiającym i niepokojącym. Powstaje pytanie, czy warto dziś należeć do tych wybranych, co nic nie robią, skoro słodki owoc próżniactwa, boska kontemplacja, stał się owocem zatrutym, a co gorzej w pośpiechu tylko nadgryzanym. Wyobraźcie sobie dzisiaj takiego nieroba Diogenesa, któryby prosił powiedzmy wojewodę, aby mu nie zasłaniał słońca. Poprostu: „element wywrotowy"! Przypuszczalnie jednak zamiast siedzieć spokojnie w swej beczce, goniłby w pośpiechu między urzędem skarbowym (zbyt wysoki wymiar podatku lokatorskiego i od nieruchomości), a starostwem (rozprawy karno-administracyjne z powodu złego stanu fasady na tejże beczce, nie mówiąc już o szeregu innych wykroczeń).

Sądzę, że brak czasu i pośpiech nasz mają dwa główne powody. Pierwszy, to kolosalny przybytek szeregu obowiązków wobec państwa i związane z tem nieustanne tułanie się po urzędach, rekursy i szeregi innych czynności, dawniej nie grających roli, tak, że na właściwą pracę i odpoczynek pozostaje znacznie mniej czasu. Drugi to niezwykle szybki postęp techniki, tak szybki, że naturalny porządek rzeczy polegający na tem, iż technika nadąża za życiem, został odwrócony, i że właściwe życie w zadyszce nadąża za techniką.

Nad pierwszym z tych powodów nie będziemy się tu zastanawiać, raz że nie można odwrócić w przeciwnym kierunku biegu rzeki, a powtóre nie mamy zamiaru dostarczać naszym Czytelnikom tak niebywałej sensacji jak konfiskata „Asa".

Jeśli chodzi o powód drugi, to na pierwszy rzut oka pozornie wydaje się on niezrozumiały: wszak technika umożliwia szybsze załatwianie wszystkiego, a więc raczej powinnaby dawać w rezultacie przybytek w czasie, a nie jego ubytek. Nie zapominajmy jednak o jednem: głównymi celami techniki są: wygoda i szybkość, z tem, że ta ostatnia może jeszcze silniej wycisnęła swe piętno na wszelkich dążeniach tejże techniki. Człowiek, tak bardzo się wysilając dla uzyskania większej szybkości, ani sam się nie obejrzał, jak podniósł ją samą do wyżyny zasady. Nastąpiło pewne odwrócenie przyczynowości zjawisk w tym sensie, że człowiek stwarzając cały szereg wynalazków i ulepszeń dla osiągnięcia większej szybkości, gdy mu to będzie istotnie potrzebne, popadł w przekonanie, że używając tych właśnie ulepszeń i wynalazków, musi koniecznie tę szybkość wykorzystywać bez względu na to, czy mu jest istotnie potrzebna, czy też nie.

I tak automobil stworzony został na to, aby nam umożliwić szybkie przenoszenie się z miejsca na miejsce; w wyniku ktoś kto jedzie automobilem na spacer, uważa za swój obowiązek jechać jak najszybciej, bo na to jest automobil. Dawniej jechało się do Ameryki dwa tygodnie i było dobrze. Ale rozpoczęła się walka towarzystw okrętowych o czas i „Błękitną wstęgę oceanu". W wyniku jegomość, nie mający nic pilnego do załatwienia, a jadący z Nowego Jorku do Paryża na to tylko, aby tam zbijać bąki, jednak wsiada do tego okrętu, który o parę godzin wcześniej przybędzie do Cherbourga, bo pośpiech stał się zasadą. Ciągle padają pytania, co zostało w jakim czasie zrobione. Jedni ludzie spiesząc się, zmuszają do pośpiechu innych. Pośpiech stał się cnotą, religją naszych czasów, kto się nie umie spieszyć jest niedołęgą — przegrywa.

Jak wygląda jednostka ludzka w tym systemie? Myślę, że tylko człowiek-maszyna i to do tego precyzyjnie działający, mógłby się dostosować doń w pełni i funkcjonować niezawodnie. Dopóki jednak człowiek ma cechy ludzkie, będzie zawsze w pewnych momentach zacinał się, jak stary zegar, opóźniał, aby potem nadrabiać kosztem nerwów i jakości swej pracy. Cechy zaś ludzkie — te dawne nawyki niezmechanizowanego człowieka — tkwią w nas i zawsze tkwić będą, dopóki człowiek będzie człowiekiem, i na nich kiedyś wywróci się ten warjacki system, oparty na tak jednostronnym czynniku postępu, jak technika.

Zanim to jednak nastąpi, nacierpią się ludziska coniemiara. Nie mogąc odwrócić biegu dziejów i całkowicie uchronić się od cierpień, które niesie ze sobą dana epoka, zawsze jednak zastanawiać się należy, czy nie możnaby jednak sobie ulżyć nieco, choćby przez proste dostosowanie się do warunków, coś, jakby barwy ochronne u zwierząt. Myślę, że trzeba sobie poprostu stworzyć pewien savoir-vivre, w szerokiem tego słowa znaczeniu. Przypomnijmy sobie tak bardzo ośmieszone pod wpływem pseudodemokratycznych manier przepisy dawnego savoir-vivre'u, o biletach wizytowych, digestkach, rękawiczkach, czarnych surdutach i innych akcesorjach dobrego tonu. Zapomniano, że były to wcale niegłupie instytucje, które zostały wynalezione nie celem utrudniania życia, lecz właśnie dla jego ułatwienia, podobnie, jak dla ułatwienia życia istnieją przepisy drogowe, bardzo pożyteczne mimo tego, że dla ciemnego chłopa przepis jazdy prawą stroną i świecenia latarni przy wozie jest niezrozumiałym, krępującym i nieznośnym przepisem savoir-vivre'u drogowego. Tak więc dla ułatwienia sobie życia stwarzajmy nowy savoir-vivre — poprostu zmodernizowany savoir-vivre czasów pośpiechu.

Otóż sądzę, że skoro weszło w nasze życie szereg wynalazków technicznych, dawniej nieznanych, to należałoby pod ich kątem zrewidować niektóre nasze dawniejsze zapatrywania. Weźmy np. taki telefon. Poprostu cudowny wynalazek. Wyliczyć jego plusy byłoby traceniem słów. Ale przypatrzmy się odwrotnej stronie tego medalu. Twierdzę, że telefon rabuje nam masę czasu. Chcesz popracować w skupieniu w biurze lub w domu — nie wyłączasz telefonu, bo może przyjść wiadomość ważna, lub interesująca cię. Tymczasem, jak to mówią, rozbija się bania z telefonami do ciebie — opóźniasz się w pracy, myśl ci się ustawicznie rozrywa, obiecywałeś sobie skończyć pracę w takim to terminie — nic z tego. Chcesz wyjść z domu na czas — nie pozwoli ci telefon i spóźniasz się na umówione spotkanie, gonisz — jesteś zdenerwowany, klniesz. Przychodzisz do kogoś w ważnym interesie. Czekasz w kolejce aż zostaniesz przyjęty. Poniosłeś ofiarę swej fatygi i czasu. Wreszcie wchodzisz i zaczynasz wyłuszczać swoją sprawę. Cóż, kiedy na biurku twego rozmówcy stoi telefon. Ktobądź z miasta, który nie przyszedł ani nie czekał, może bezkarnie przerwać ci w połowie słowa, odsunąć cię bezceremonjalnie na bok kilkoma ruchami palca. Siedzisz przez cały czas długiej nieraz rozmówki bezradnie, tracisz czas, i musisz zaczynać potem na nowo. Dobrze jeszcze, jak nie nastąpi taka przerwa kilka razy z rzędu. Oczywiście uwaga twego rozmówcy jest rozproszona, nie rozumie cię należycie, traci wątek — wychodzisz nieraz przez to z niczem. Otóż to jest pole do stworzenia jakiegoś savoir-vivre'u telefonowego. Przedewszystkiem wprowadzić należy konwencję, że wolno w pewnych warunkach nie przyjmować telefonów prywatnych i urzędowych bez niczyjej obrazy i bez potrzeby wykłamywania się nieobecnością. Zasada, że wymogiem uprzejmości jest być do dyspozycji każdego w każdej chwili, była naturalną, gdy ludzie mieli znacznie więcej czasu. Dziś zapatrywanie to nie da się utrzymać.

Łączy się ta kwestja ściśle z coraz bardziej aktualną sprawą szanowania czasu cudzego. Weźmy np. ile tracą go ludzie w poczekalniach, czy to w urzędach i instytucjach publicznych, czy też prywatnych, u lekarzy, adwokatów lub dentystów. Nieraz siedzi się u takiego wziętego dentysty dwie godziny, albo i więcej na to tylko, żeby

wu za trzy dni. Znam ludzi bardzo zajętych, którzy przez to stracili zęby, skoro z braku czasu musieli zrezygnować z ich leczenia. Otóż stanowczo musimy wprowadzić zwyczaj przychodzenia do adwokatów, lekarzy, a nawet do urzędów na ściśle zamówione godziny, z tem że będzie to dotrzymywane obustronnie. To jest dopiero prawdziwe pole do wykorzystania telefonu; kto sobie godziny nie zamówi, ten nie powinien mieć pretensji, lub obrażać się, gdy nie zostanie przyjęty. Znowu kwestja savoir-vivre'u — konwencji. Jeśli ten obyczaj zamawiania się telefonicznie zyskał prawo obywatelstwa w stosunkach towarzyskich (a tak jest), to tembardziej powinien się ustalić jako bezwzględnie obowiązujący w stosunkach zawodowych i urzędowych. Jest to sprawa do uregulowania.

Oczywiście poruszona tu sprawa przychodzenia na wyznaczone godziny może się utrzymać tylko wtedy, gdy klienci, pacjenci, interesanci będą zajmować w czasie swych wizyt tyle czasu, ile na nich istotnie wypada. Ale cóż, pokutuje jeszcze ciągle wśród nas barbarzyński obyczaj prowadzenia podczas takich wizyt rozmówek towarzyskich. Przychodzi taki pan (lub paniusia) do adwokata i załatwia z nim sprawę więcej lub mniej rozwlekle — wreszcie skończyli. Teraz dopiero chce pokazać, że jest uprzejmy i dobrze wychowany: zaczyna rozmówkę prywatną. Jak zdrowie, co słychać, jak się ma żona, gdzie spędził urlop. Potem to samo jeszcze raz o sobie. Uważa, że gdyby tego nie zrobił, to zachowanie jego byłoby oschłe i nieuprzejme. Tymczasem inni czekają w poczekalni i drepcą z niecierpliwością. Niema dość słów potępienia na te niekulturalne parafjańszczyzny. Czas najwyższy zrozumieć, że na tego rodzaju „elegandje" jest czas w kawiarni, albo na wizytkach.

Wogóle fałszywe pojęcia o dobrem wychowaniu kosztują nas sporo czasu. Ileż razy obserwowałem, jak ludzie nie umieją rozstać się ze sobą. Siedzi taki ktoś na wizycie z tem, że piwinien wyjść o oznaczonej porze, bo albo on sam, albo gospodarz ma jakiś termin. Tymczasem gość robi wrażenie, że jest przyśrubowany do krzesła. Sam czuje, że należy już odejść, ale się krępuje, bo rozmowa jeszcze nie skończona; jeszcze parę zdań i jeszcze coś gada — a czas leci. Potem zaczynają się rozmówki w przedpokoju. Sterczy już ubrany i kryguje się i podryguje, trzy razy się żegna i jeszcze w drzwiach się odwraca. Potem taki lord z Psiej Wólki leci na łeb na szyję po schodach, bierze taksówkę i wymyśla szofera, że za powoli jedzie, bo raczył się zapóźnić. Podobne rzeczy widuje się też na ulicy, gdy „dobrze wychowani" ludzie zaczynają robić Wersal, żegnając się dziesięć razy i tamując przytem ruch. Jakże bardzo to wszystko jest odległe od naprawdę dobrych manier, a ile czasu pożera!

Stałe przybywanie w deficycie czasu ma szereg fatalnych skutków. Przedewszystkiem nieprawdopodobnie szarpie nerwy: te wszystkie neurastenje, o których się mówi, że to z przepracowania, raczej pochodzą, jak myślę, z wiecznego doganiania, z robienia


Czas ubierania się trzeba nieraz skrócić...

kiem zapóźnienia i pośpiechu. Powtóre fatalne skutki wywiera brak czasu na jakości pracy. Jestem przekonany, że w większości wypadków, fuszerka i niedokładność rodzi się z pośpiechu, a potem dopiero przez zdemoralizowanie się osobnika, przeradza się w jego stałą wadę. Wreszcie niepunktualność — destrukcyjna dla pracy i kalkulacji innych, wywołująca łańcuchy nieszczęść.

Bezpośrednich przyczyn niepunktualności może być wiele i przeważnie są każdemu znane. Chcę tu zwrócić jednak uwagę na pewną okoliczność dość specjalną. Otóż zauważyłem, że ludzie w zajęciach swych lubią trzymać się pewnego szablonu, przyzwyczajenia; rzecby można, że wytwarzają dla swych czynności jakby przynależny do nich obrządek, od którego niezwykle trudno im jest odstąpić. Jeśli ktoś przyzwyczaił się wykonywać jakąś czynność w takiej właśnie kolejności ruchów lub zabiegów, to wiadomo, że trwać to zawsze będzie u niego pewną określoną ilość czasu. Mam znajomego, który musi się ubierać, golić, myć, przez pięć kwadransów. Jest wykluczone, żeby nie wiem co się działo, aby mógł to przyspieszyć, boby musiał wyrzec się pewnej ilości sakramentalnych zabiegów i ruchów, bez których ubranie się poprostu nie byłoby ważne. Jeśli jakakolwiek okoliczność zmusi go, że zacznie swój obrządek później, to wykluczone jest, aby nadrobił brakujący czas — spóźni się nieuchronnie. Pośpiech wówczas zaznacza się u niego szybkiem dreptaniem, irytowaniem się i szukaniem drobiazgu, ale nie przemoże się, by wypuścić parę zbędnych wersetów ze swego koranu. To samo obserwowałem u innych, np. u urzędników przy załatwianiu pewnego typu spraw. Jest to jakby kalectwo psychiczne, z którego dobrze jest się wyleczyć: należy zdobyć pewną elastyczność w stosunku do warunków czasu.

Wracając do techniki i szybkości, to zaznaczyć muszę, że odgrywa ona pewną rolę w niepunktualności. Ludzie zasugerowani dużemi możliwościami w tym kierunku spuszczają się na nie — i przeliczają się: „przecież mam samochód do dyspozycji, będę tam w jednej chwili, mam jeszcze czas", oto częste rozumowanie, które kończy się jazdą na łeb na szyję, i spóźnieniem się.

O odkładaniu wszystkiego na ostatnią chwilę nie będę się rozpisywał — jest to


Nawet jadąc samochodem można spóźnić się na spotkanie...

nasza wada narodowa i wiele już o tem mówiono i pisano.

Zastanawiając się nad wszystkiemi tu poruszonemi kwestjami, nie sposób nie wspomnieć o cudownem wprost przedstawieniu wszystkich żałosnych okoliczności, prześladujących człowieka zapóźnionego, szamocącego się z brakiem czasu, zropaczonego — jakie pozostawił nam Fredro w całym IV akcie swego „Wielkiego człowieka do małych interesów".

Jest to akt, w którym Fredro jako obserwator i satyryk przeszedł samego siebie,, stając się poprostu prorokiem naszych czasów. Jest tam wszystko: i naukowa organizacja pracy i fałszywe względy grzeczności

terji i robota trzech rzeczy naraz na termin. w ostatniej chwili.

Nie mogę się oprzeć pokusie przypomnienia tu pokrótce treści tego aktu: Młody ziemianin Dolski kandyduje na jakiś urząd powiatowy, a sprawą całą kieruje jego protektor, pan Jenialkiewicz, tytułowa postać komedji. Dolski przyjechał do miasta, aby przed wyborami przygotować swą kandydaturę. Jest rano, Dolski wyciągnięty z łóżka przez Jenialkiewicza, otrzymuje od niego listę szeregu wpływowych osobistości, którym ma w ciągu przedpołudnia złożyć wizyty z prośbą o poparcie jego kandydatury. Poza tem dostaje polecenie pokazania menażerji siostrzenicom Jenialkiewicza, z których jedna jest damą jego serca.

Zaczyna się na gwałt ubierać. Tymczasem co chwila ktoś do niego przychodzi. Najpierw jego rządca „Telembesio" z ważnemi sprawami i rachunkami, których załatwienia nie sposób odłożyć, bo już jutro jakaś licytacja w majątku. Dolski liczy i sumuje, w czasie czego przychodzą po kolei sąsiedzi i znajomi z uprzejmościami. Trzeba z nimi rozmawiać, przyczem Dolski ciągle gubi się w dodawaniu. Każdy z nich zastrzega się, że nie chce przeszkadzać, a mimo to jeden gada o literaturze, drugi gra na fortepianie i śpiewa Dolskiemu nad głową, trzeci opowiada o swoich chorobach. Dolski, bliski szału, lata od jednego do drugiego namydlony do golenia i co chwila zaczyna śpiewać piosenkę, która jest jego stałym sposobem wówczas, gdy grozi mu paroksyzm pasji i przychodzi chęć połamania wszystkich mebli. Rozrywa sobie szlafrok, wylewa atrament, spostrzega, że Telembesio zapomniał na stole plenipotencję i pojechał bez niej. Przychodzi także tapicer w sprawie mebli do gabinetu urzędowego przyszłego elekta. Gdy już nieszczęsny Dolski bliski jest zupełnego ogłupienia, wtarabania się jeszcze Jenialkiewicz wraz z obiema siostrzenicami. Dolski w rozdartym szlafroku i z namydloną twarzą nie wie, gdzie się schować przed swą ukochaną. Spotykają go wyrzuty, że jeszcze nie gotów i że nie dość uprzejmie przyjmował swoich godnych sąsiadów i przyjaciół, którzy go tego ranka odwiedzali. Okazuje się, że Jenialkiewicz spotykając ich w mieście, nasyłał ich naumyślnie Dolskiemu, aby skontaktować go z tymi wpływowymi obywatelami. Dolski rezygnuje z dalszego śpiewania swej buforowej piosenki i wybucha od stu par djabłów. Jenialkiewicz się obraża i zrzeka się dalszego kierownictwa losami Dolskiego, pozostawiając go zupełnie wykończonego i osłabłego ze złości i alteracji.

Coś niezwykle nowoczesnego i aktualnego jest w tej całej scenie. Brak tylko odzywającego się co chwilę telefonu. Widzimy tam siebie lub swoich znajomych w ich nawale spraw i deficycie czasu, w biurze lub w domu. I tak jak wielu jest dziś nieszczęsnych ofiar — Dolskich, tak też wielu jest dziś takich Jenialkiewiczów, razem z ich „organizacją przejawów życia" i pretensją do urządzania, kierowania i „podciągania" wszystkich i wszystkiego naokoło.

Almaviva.


Wielu już cierpiało przez gadatliwość innych...



Kościół pofranciszkański.



Poranek.

ZDJĘCIA: HENRYK HERMANOWICZ, KRZEMIENIEC



Góra królowej Bony.



Na przedmieściu.

Krzemieniec W JESIENNEJ MGLE...



Ogólny widok Krzemieńca.

Jeżeli gdzie [illegible] „złota jesień" jest naprawdę żywe i naprawdę zgadza się z treścią tego, co zachwyca oko patrzącego, to właśnie tutaj, gdzie ziemia urodzajna i bogata długo jeszcze w późną jesień paruje ciepłem lata, gdzie długo wybłyska jeszcze słońce zza chmur listopada, a cała zieleń, przeobrażona w złoto i krew, trwa kolorowem pięknem, zaprzeczając nadchodzącej zimie.

Na czar tej złotej, wołyńskiej jesieni opada teraz srebrzysta mgła, owijając Krzemieniec szatą z bajki, w której jeszcze więcej, niż zwykle to przedziwne miasteczko wydaje się miastem z pięknego obrazka.

Krzemieniec jest legendą, której jakże liczne odcienie wyczarował ze swych domków o niezwykłej architekturze, z góry królowej Bony, z ruin zamczyska, ze swej świetnej historycznej przeszłości. Jego piękno jest niedzisiejsze, niewspółczesne, a całe życie jego mieszkańców jest zamglone przez dziwny czar, przez to właśnie legendarne piękno miasta.

To też nasza jesienna mgła w Krzemieńcu nie jest, jak gdzieindziej, szara i wilgotna — nie jest wielkomiejską ciężką mgłą, ani melancholijną lepką mgłą małego miasteczka; lecz jest srebrzystym kostjumem, uwidaczniającym jeszcze wyraziściej piękno miasta, zaklęte w przeszłość.

Takim porankiem jesiennym we mgle, która została w kotlinie miasta, opuszczonej przez chmurną noc, jakże czarownie jest błądzić pomiędzy domkami, po …śnych uliczkach, albo wznieść się na górę królowej Bony i patrzeć na miasto, budzące się w mlecznej poświacie.

Potem wstaje słońce i promienie jego przecinają nawisy mgły — odpędzając ją. Mgła ginie w wykrotach domów, w zakrętach uliczek. Białe ściany jaśnieją, mienią się kolorowe drzwi i ramy okienne — gamą barw grają ogrodzenia i płoty.

Oto złota jesień nad Krzemieńcem.

Więc jeszcze każdą chwilę trzeba wykorzystać, jeszcze chodzić z otwartemi szeroko oczami i cieszyć się tem pięknem nieskalanem — cieszyć się, że jest się właśnie tu, w tem mieście starej Polski, w jednym z najsilniejszych sprawdzianów jej tradycji, jej bujnej historji.

I wtedy myśleć sobie, że przecież tasama mgła, taksamo srebrzysta, taksamo listopadowa otulała to miasto przez tyle stuleci, gdy przez ziemie Rzeczypospolitej szły twarde lata rzeczywistości, która dzisiaj jest tylko tematem opisów w podręcznikach...

Że tasama mgła otulała innych ludzi, których pokolenia narastały tu na kresach potężnego państwa, że tasama mgła spowijała ich domy, które do dziś zachowały swój dawny kształt...

Krzemieniec w jesiennej mgle jakże silnie przemawia do duszy...

Henryk Hermanowicz.



Czy jadłeś kiedy

JUGOSŁOWIAŃSKIE PRZYSMAKI?

Gdy przed paru miesiącami oświadczyłem w towarzystwie, że wybieram się znowu do Jugosławji, zapytał mnie jeden z obecnych: „Proszę pana, czy jadają tam jeszcze potrawę, zwaną waszcic?" — „Cepavcici" — poprawiłem. — „Tak — odparł mój interlokutor, zadowolony, że tak łatwo wpadłem na jego myśl. — „Gdy byłem tam przed paru laty, jadłem tę potrawę bardzo często".

I nastąpiła pogawędka kulinarna na temat kuchni jugosłowiańskiej, która choć mało u nas znana, jest jednak bardzo smaczną i zasługuje na bliższe poznanie. I tak np. owe Cepavcici, od których rozmowa się zaczęła, mają tylko ten błąd, że nazwa ich trudna jest do wymówienia. Są one niezwykle smaczne a przedstawiają się jako gorące, obrane ze skóry kiełbaski. Po zjedzeniu jednej ich pary, nawet nie można zorjentować się w smaku tej świetnej potrawy. To też w restauracjach podaje się odrazu dziesięć par naraz, oblanych sosem o nader ostrym smaku i w przeciągu kilku minut talerz jest pusty. Podróżny żąda drugiej porcji, ale o ile nie jest jeszcze przyzwyczajony do kuchni tamtejszej, powinien poprzestać na jednej i popić czerwonem winem. Cepavcici, to przysmak tani, bo w pierwszorzędnych nawet restauracjach płaci się za niego grosze. Nic więc dziwnego, że zdobył sobie tak wielką popularność.





Na prawo: Wieśniaczka zdążająca z produktami na targ do Dubrownika.

Będąc w Jugosławji, nie wolno zapomnieć o innej jeszcze specjalności, która znaną jest pod nazwą „Raznici". Kto nie skosztował tej potrawy, ten wiele stracił z kulinarnego punktu widzenia. — Są to kawałki cielęciny, drobno posiekane i smażone w sosie pomidorowym, a podawane na stół z różnemi jarzynami, sałatami i oliwą. Polecenia godne są również t. zw. „Hajduck Cevap", co po przetłumaczeniu oznaczałoby mniej więcej „zbójecki kotlet". Nie jest to kotlet w naszem pojęciu, lecz są to parówki, bardzo duże, podawane równocześnie na jednym talerzu z gęsią wątróbką i cebulką, krajaną w kawałki. Hajduck Cevap, to jedna z najniebezpieczniejszych dla kieszeni i żołądka potraw, gdyż jest względnie droga, a smakuje tak doskonale, iż człowiek chętnie zjada kilka porcyj, co dla żołądka, nieprzyzwyczajonego do tamtejszej kuchni, nie jest rzeczą obojętną.

Wspaniale i na różne sposoby przyrządzany jest w Jugosławji drób. Specjalnie znane są dalmatyńskie tuczone pulardy, które posiadają mięso nader soczyste i kruche. Panuje pozatem w Jugosławji zwyczaj, że w tzw. „kafanas" (jest to coś pośredniego między naszą kawiarnią, a restauracją) wystawia się specjalnie ładne pulardy w oknie i gość wchodząc do restauracji, wybiera odrazu upatrzoną sztukę. To są specjały, które smakują dobrze tylko w Jugosławji, i spożywane w innym kraju tracą swój swoisty „smaczek".



Inna potrawa „Sarma", to pularda z ryżem i śmietaną, dla której to jednej potrawy warto przyjechać do Jugosławji. Cechą kuchni jugosłowiańskiej jest jej różnorodność potraw i duży wybór w dziedzinie mięs czy też jarzyn lub legomin. Kto wie, czy przyczyną tej różnorodności potraw nie jest skład narodowościowy państwa jugosłowiańskiego, który tworzą Grecy, Albańczycy, Turcy, Rumuni, Żydzi, Węgrzy i Niemcy, a ostatnio uchodźcy rosyjscy.

Mięso stanowi w Jugosławji główną niejako potrawę, dokoła której obracają się inne. O ile jednak stanowić mają tylko zakąskę do właściwego dnia tj. mięsa lub są słodkiem zakończeniem obiadu, to mięso w zasadzie ma na celu nasycenie jedzącego. Najpopularniejszą przekąską są sery w różnorakiej postaci (w odróżnieniu od innych krajów, gdzie sery jada się po zakończeniu obiadu) i o różnych smakach, bądźto łagodne, bądźteż pikantniejsze. Popija się do tego Joghurt, znany i u nas. Jest to coś pośredniego między mlekiem kwaśnem a śmietaną o łagodnym smaku. Zawiera on podobno składniki wpływające na długowieczność i istotnie Jugosławja jest krajem długowiecznych ludzi. Najbardziej lubianymi gatunkami sera są „kajnak", ser miękki o łagodnym smaku, nadający się do smarowania pieczywa i „Katzkaval" ser ostry, wytrawny. — Ale będąc gościem na obiedzie u Jugosłowian, nie należy sera jadać zbyt wiele, by sobie nie popsuć apetytu do dalszych dań, a mianowicie — do ryb.

W Jugosławji podaje się ryby rzeczne i morskie. Z rzecznych najpopularniejsze są karpie, podawane w różnej przyprawie, a z morskich należy koniecznie skosztować „ketschiga", rybę morską, mniejszą od karpia, niemal pozbawioną ości, którą się piecze z rozmaitymi dodatkami; mięso jej odznacza się niezwykłą kruchością i soczystością. Jest to przytem ryba niezwykle tania, kilogram kosztuje po przeliczeniu na nasze pieniądze kilkadziesiąt groszy, a nawet w niektórych miejscowościach jeszcze mniej. Znawcy jadają w Jugosławji najchętniej pstrągi, zwłaszcza sławne z dobroci z jeziora Ohrid i okolicznych górskich rzek. W okolice te przyjeżdża rokrocznie wielu zblazowanych Anglików specjalnie celem łowienia pstrągów, które uważają za najlepsze na świecie. Po przekąskach i rybach następują zupy, ale tu naogół spotykamy te same rodzaje zup, co i w innych krajach. Zakończeniem obiadu są legominy, których tradycje przejęto z dawnej austro-węgierskiej kuchni, chlubiącej się swymi doskonałymi wyrobami cukierniczymi. Pieczywo, nawet zwykłe bułeczki stołowe są znakomite, a przyznam się, że takiego doskonałego strudla z jabłkami, rodzynkami i makiem, jak w cukierni w Marinica w Bel-

Dokończenie na str. 20-tej.

Szwadron warszawskiego high-life'u



Grupa członków warszawskiego Klubu Jazdy Konnej podczas tegorocznego biegu myśliwskiego.

Poniżej: P. Paulina Jarosiewiczowa — zdobywczyni wielu nagród jeździeckich.



Poniżej: P. Heddi Pate, jedna z najwybitniejszych sportsmenek warszawskich.



Sport jeździecki, jeden z najstarszych i najszlachetniejszych jest przywilejem najwyższych sfer towarzyskich. Ważną rolę odgrywają w tym wypadku nietylko tradycje rodowe i rycerskie, ale i warunku materjalne, pozwalające na posiadanie rasowego wierzchowca, na utrzymanie go, kosztowny ekwipunek, trening itp.

W Warszawie sport jeździecki skupia się poza formacjami wojskowemi w warszawskim „Klubie Jazdy Konnej", którego długa lista członków obejmuje głośne nazwiska przedstawicielek i przedstawicieli high-life'u stolicy oraz arystokracji polskiej. M. in. trzeba wymienić ministra Tadeusza Lechnickiego, prezesa klubu Kazimierza Skarżyńskiego, znanego sportsmana, senatora Karszo-Siedlewskiego, wiceprezesów, wicemin. S. W. gen. Janusza Głuchowskiego, wojewodę Jaroszewicza, ks. Janusza Radziwiłła, ambasadora gen. Wieniawę-Długoszewskiego, hr. Marję Dzieduszycką, hr. Zamoyską, min. Sieczkowskiego, hr. Krasicką, pułk. dypl. Albrechta, pułk. dypl. ks. Drucko-Lubeckiego, pułk. dypl. Brochwicz-Lewińskiego, pułk. bar. Karola Rummla, najwybitniejszego sportsmana polskiego oraz jego żonę Marję, majora dypl. Wilhelma Lewockiego, hr. Laurę de Laveaux, p. Paulinę Jarosiewiczową, wybitną amazonkę, p. Heddi Pate, hr. Michała Komorowskiego, p. Gustę Rolecką, państwa Firneyów, p. Laurę Dobrutową, gen. bryg. Kordjana Zamorskiego, bar. Andrzeja Ike-Duninowskiego, ppułk. dypl. Czerwińskiego, państwa Tomaszewskich, państwa Zandbangów i wiele wiele innych.

Jedną z najsympatyczniejszych imprez o charakterze towarzyskim z zakresu sportu jazdy konnej są urządzane jesienią biegi myśliwskie pod wezwaniem św. Huberta. Niestety nie rozporządzamy w Polsce odpowiedniemi terenami dla polowań „par force" z chartami na zająca, na lisa lub z ogarami na jelenia, a które są tak popularne na Zachodzie. Trasa biegu musi w tym wypadku obejmować olbrzymi obszar o urozmaiconym terenie. Na całym obszarze Polski tereny takie posiadają jedynie z prywatnych właścicieli hr. Alfred Potocki w Łańcucie oraz Centralne Wyszkolenie Kawalerji w Grudziądzu i 17 p. ul. w Lesznie.

Tegoroczny sezon biegów myśliwskich w Warszawie trwał parę tygodni. Związki wojskowe a także i warszawski Klub Jazdy Konnej uważały za swój obowiązek zorganizowanie tradycyjnej imprezy dla swych członków i gości. Jedynym terenem podwarszawskim, nadającym się do tego celu, to dobra wilanowskie wraz z okolicznemi lasami i polami. Tutaj też w każdą jesienną niedzielę, na obszernym placyku w najbliższem sąsiedztwie wspaniałej siedziby Jana III, dziś mieszczącej muzealne zbiory hr. Branickich, zbierała się w porannych godzinach liczna ekipa jeźdźców, przybyłych bardzo często w towarzystwie swych najbliższych i znajomych. Przeważały zazwyczaj mundury wojskowe, na tle których jaskrawą plamą czerwieni lub czerni odbijały się sylwetki pań i panów, przybranych w przepisowy strój myśliwski.



Hr. Laura de Laveaux i p. Jan Bednarski przed biegiem. *Zdjęcia: Magazyn „AS"*

Warszawski Klub Jazdy Konnej może się pochlubić kilkoma znakomitemi amazonkami, których nie brakło na żadnym z biegów. Do nich należy w pierwszym rzędzie p. Jarosiewiczowa, zdobywczyni wielu nagród na międzynarodowych i krajowych zawodach, jak również p. Heddi Pate, również uczestniczka wielu konkursów. Obie panie występują zawsze na konkursach i biegach w przepisowym kostjumie, na który składa się czerwony rajtrok z czarnym aksamitnym kołnierzem, zapinany na cztery mosiężne guziki, biała męska koszulka, żółta kamizelka, białe bryczesy, czarne wysokie do kolan buty z żółtemi sztylpami i czarna aksamitna dżokejka.

Inne panie, jak p. Tomaszewska, p. Dobrutowa, p. Rolecka i p. Bejtówna, które mieliśmy sposobność widzieć na biegach warszawskich, jeżdżą przeważnie w czarnych kostjumach, do których noszą cylinderki lub czarne meloniki. Hr. de Laveaux, która wierna dawnym tradycjom polskich amazonek, jeździ po damsku, używa też dlatego odpowiedniego stroju.

Wśród jeźdźców przeważają zgrabne sylwetki oficerów, niemniej i cywilny strój jeździecki prezentuje się wytwornie.

Z. Ord.

Dokończenie ze str. 12.

wspomniały. Nie rozumiem jak to możliwe, aby pan... Przecież jeszcze przed miesiącem jak pana słyszałem w Tosce opanowywał pan partję i miał sensacyjne powodzenie a wczoraj...

— Panie dyrektorze, ja także nie wiem jak to się stało. Jeszcze przed tygodniem śpiewałem Toskę w Berlinie — — —

— Nie pojmuję.

— To Burghardt temu winna — wybuchnął — przez nią to całe zdenerwowanie!

— Burghardt? — powtórzył spokojnie dyrektor, podnosząc na niego pytające spojrzenie, cóż ona ma z tem wspólnego?

— Ona — ona przypomina mi pewną kobietę, która już dawno nie żyje. Gdy ją wczoraj na scenie ujrzałem, zdawało mi się w pierwszej chwili, że tamta wstała z grobu i przyszła, aby mnie wziąć ze sobą. W scenie pożegnalnej miałem wrażenie, że trzymam upiora w objęciach. Sądzi pan, że w takim nastroju można odśpiewać po mistrzowsku arje?

— Nie przypuszczałem, aby zmiana mojej dyspozycji pociągnęła za sobą dla pana tak przykre następstwa. Panna Zimmer, która śpiewała na próbie również panu nie odpowiada. Trzeciej obsady nie mam. Pani Burghardt musi być pańską partnerką na wszystkich wieczorach.

— To niemożliwe, ja nie zniosę tego.

— Innej sopranistki nie mam. Ktoś musi przynajmniej ratować sytuację na scenie.

— Więc ja się stałem już tak podrzędną siłą — — —

— Być może, że szybciej się pan aniżeli inni postarzał, stracił nerwy — — —

Elinger utkwił w nim spojrzenie — — — „on także mówi o zestarzeniu się!" — — — Panie dyrektorze, jestem gotów zrezygnować z dalszych występów.

— Wyrządziłby mi pan tylko wielką przysługę, odparł dyrektor.

Elinger odjechał popołudniowym pociągiem. Siedząc sam w przedziale pierwszej klasy, myślał o wszystkiem, co zaszło. To początek staczania się ze szczytu sławy aż do zapomnienia. Może nerwy moje naprawdę już się zniszczyły? Prawdopodobnie w Berlinie wiedzą już o całem zajściu — czytali krytyki. Poczęło go opanowywać coraz większe zdenerwowanie. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Palił papierosa po papierosie, wypukiwał palcem takt uderzeń kół o szyny, drażniły go kołysania się sznurów u lampy... Szarpnął drzwi — wyszedł na korytarz, przemierzył wagon wzdłuż kilka razy tam i zpowrotem... Ściągnął na siebie pytające spojrzenie jadących osób. — Nagle rzucone prądem powietrza uderzyły z hałasem otwarte drzwi wagonu o boczną ścianę. Ktoś stojący w pobliżu krzyknął przeraźliwie — pociągnął za hamulec bezpieczeństwa...

Krótko przed rozpoczęciem przedstawienia wszedł dyrektor do garderoby pani Burghardt. Siedziała przed lustrem kończąc się szminkować. Bez jednego słowa podał jej wieczorne wydanie dziennika. Pani Burghardt spojrzała na wskazane jej miejsce —

RUDOLF ELINGER.

Nieszczęśliwy przypadek czy samobójstwo?

Pani Burghardt nie czytając dalej, oddała gazetę dyrektorowi z wyrazem największej obojętności.

— Teraz dopiero zrozumiałem — odezwał się, co było powodem tego, że pani tak niespodzianie zdecydowała się na wczorajszy występ.

— Na chwilę tę czekałam dwadzieścia lat, odparła spokojnie Burghardt, ścierając puszkiem puder z twarzy.

Dokończenie ze str. 18-tej.

gradzie nie jadłem nigdzie, nawet w Wiedniu.

Już sam wygląd cukierni jugosłowiańskiej (oczywiście mowa o pierwszorzędnych) jest imponujący. Za szybą wystawową leżą istne sterty ciast, babek, tortów, rurek z bitą śmietaną, drobnych lubianych tu keksów, zwanych „confetti". Poza tem różnego rodzaju owoce kandyzowane, marcepan itd. Inna rzecz, że dla europejskiego podniebienia są to rzeczy naogół zbyt słodkie. Orzechy, miód, dużo cukru — oto czego się bynajmniej nie żałuje przy wyrabianiu tych specjałów, a nie każdemu podniebieniu to odpowiada. Tyczy się to zwłaszcza popularnej a i u nas znanej słodyczy pod nazwą „Rahat łukum".

Oczywiście zakończeniem dobrego obiadu są owoce, napoje, kawa i papierosy. Wybór owoców jest ogromny — pamiętajmy o wspaniałych śliwach jugosłowiańskich, dużych, niebieskich i słodkich, pamiętajmy o winogronach (najwięcej cenione pochodzą z okolic Tetovo) no, i wkońcu o melonach. Tych ostatnich istnieją dwa rodzaje. Jedne są wewnątrz czerwone i noszą nazwę „Lubenica", a kawałek takiego melona, położony na lód, gasi świetnie pragnienie. Drugi gatunek, to żółte zewnątrz i wewnątrz. „Dinje", odznaczające się nieco pikantniejszym smakiem.

Jeśli idzie o wina, to posiada ich Jugosławja liczne gatunki. Popularnem jest białe wino wytrawne, zwane „Smeredevka" o niezwykłym aromacie. Znakomite wina głównie czerwone, uprawiają w Dalmacji. Winem wytrawnem bardzo cienkiem jest „Prosek", konsumowany w ilościach niewielkich. Ale prócz win egzystują i inne doskonałe rodzaje napojów alkoholowych, jak np. słynna bośniacka śliwowica, dalej słodka wódka „prepecenica".

Natomiast konsumpcja piwa była do niedawna naogół mała i dopiero ostatniemi czasy powstało kilka nowocześnie urządzonych browarów, produkujących ten trunek. Bardzo popularnym napojem jest wino mieszane z wodą sodową, trzymane na lodzie, zwłaszcza w dnie upalne. Przeciwstawieniem tego jest zimą konsumowany gorący poncz, zwany „Rakija", który świetnie w paru minutach ogrzewa organizm. Zakończeniem obiadu jest kawa, którą można dostać w rozmaitych gatunkach, a więc niemiecką, francuską, kapucyna z kremem itd. Ale napić się należy raczej czarnej tureckiej kawy, którą podają w maleńkich filiżankach. Jest ona słodka, gorąca i o cudownym aromacie.

Będącym po raz pierwszy w Jugosławji należy zalecić pewną wstrzemięźliwość, przynajmniej na początku. Kawiarnie mają swe różne sposoby i „tajemnice" przyrządzania czarnej kawy. Naogół wszędzie jest ona znakomita — i bardzo tania. Po kawie następuje papieros. Ostrożni podróżni, którzy z wielkim strachem przed celnikami granicznymi przeszmuglowali kilka paczek tytoniu lub papierosów, do których w domu przywykli — widzą, że postąpili niemądrze, bo tytoń jugosłowiański jest świetny, a zwłaszcza światową sławą cieszy się tytoń macedoński.

P. W.



ŚWIETLANA BAJK
Ratusz lwowski iluminov
w dniu Święta Niepodleg

PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

TANGO

poświęcone p. Gustawowi Ebhardt, kapelmistrzowi teatru „Flora" w Hamburgu.

ALOJZY ZAREMBA

TEMPO DI TANGO.

mf

ritardando

a tempo

mp

ritardando

a tempo

f

8

1. 2.

8

Fine

„Sty

Życie towarzyskie i artystyczne

„POKAZ FRYZUR" T. O. M.



Ruchliwe Towarzystwo Opieki nad Młodzieżą w Krakowie urządziło ostatnio interesujący „Pokaz stylowych fryzur", w którym wzięły udział panie z krakowskiego towarzystwa. Impreza odbyła się w wytwornej sali Grand Hotelu, przy udziale licznie zebranej publiczności, która żywo oklaskiwała poszczególne kreacje sztuki fryzjerskiej. Na wyróżnienie zasłużyła japońska fryzura p. Zofji Zechenterówny, dzieło mistrza Stępniowskiego, fryzjera teatru im. Słowackiego w Krakowie.

Fot. Dr Azet — Kraków.

★ ★ ★

Z TEATRU WILEŃSKIEGO



Teatr Miejski w Wilnie gra z powodzeniem „Mariellę" K. Wintera. Na zdjęciu jedna ze scen sztuki z świetnym duetem: W. Alexandrowicz (Mariella) i W. Surzyński (Dawid).

Fot. W. Dobrowolski — Wilno.

OPERA KRAKOWSKA



Sezon operowy w Krakowie jest w całej pełni. Na jednym z ostatnich wieczorów wystawiono „Rycerskość wieśniaczą" Mascagniego i „Pajace" Leoncavalla z udziałem pp.: Platówny, Lipowskiej, Drabika, Mossakowskiego i Dobosza. Gościna wymienionych, zamiejscowych artystów zapewniła przedstawieniu obu tych oper na krakowskiej scenie duże artystyczne powodzenie. Na zdjęciu widzimy znakomity duet z „Pajaców" w osobach (od lewej) p. Drabika (Canio) i p. Mossakowskiego (Tonio).

Fot. Magazyn „As".

★ ★ ★

KRONIKA ŚLUBNA





W Wałowicach, rodzinnym majątku pp. Hemplów w ziemi lubelskiej, odbył się ślub p. Haliny Hempel z p. Kazimierzem Czarnockim z Lecieszyna, woj. nowogródzkiego. Na zdjęciu obok: Państwo młodzi opuszczają wraz z orszakiem kościół po ceremonji ślubnej.



Fot. L. Hartwig — Lublin.

NOWY SEZON TEATRALNY WE LWOWIE









Teatr Miejski we Lwowie, pod nową dyrekcją p. Mieczysława Szpakiewicza, otworzył sezon „Gałązką rozmarynu" Zygmunta Nowakowskiego, gorąco przyjętą przez lwowską publiczność, która zgotowała autorowi na premjerze długotrwałą owację. Jako drugą sztukę wystawiono „Ostatnią Nowość" E. Bourdet'a w reżyserji St. Daczyńskiego i z udziałem artysty scen warszawskich, Bogusława Samborskiego. Na zdjęciach od lewej: B. Samborski (Moscat), Greta Oranowska (Zaklina) i St. Daczyński (Marek) w „Ostatniej Nowości", oraz Mieczysław Węgrzyn w roli Brzytwy w „Gałązce rozmarynu".

RYWALKA

H. TUR — NOWELA

Poznaliśmy ją u Ankwiczów na kolacji. Mąż jej załatwiał jakieś sprawy w Warszawie, więc przyjechała sama, dużym, otwartym samochodem. Nosiła obcisłą suknię z gładkiego materjału, jak cerata. Kolor sukni był idealnie zbliżony do koloru jej miedzianych włosów. Nazywała się Margareta, ale pani domu, będąca z nią po imieniu, mówiła do niej Margit. Była wysoka, smukła i dziwnie giętka. Długie włosy oplecione podwójnym warkoczem dokoła głowy, nadawały jej twarzy o nieregularnych rysach wyraz odświętny. Nie malowała się. Miała policzki pokryte gęstym, złocistym puchem. Peleryna z niebieskich lisów spięta pod szyją, akcentowała jeszcze to wrażenie ciepła i miękkości. Ktoś określił ją doskonale: puszysta piękność. Byłaby idealną modelką dla Żmurki.

Zanim podano kolację, rozmawialiśmy na temat tańca wyzwolonego, którego kierunek reprezentowała Ruth Sorrel.

— Czy widziała ją pani w „Salome"? — zapytał Piotr, będący przypadkowo na jej ostatnich występach.

Patrzyła w jakiś punkt za oknem, tak jak patrzą koty — nieruchomo. I po dłuższej chwili odpowiedziała:

— Widziałam. Zdaje mi się, że tańczyć jak Sorrel, to jest poprostu szczęście. Móc wyrazić jakąś prawdę ciałem, to chyba najwyższa radość twórcza. Doprowadzić je do takiej doskonałości, żeby miało ten sam wyraz co muzyka, rzeźba, słowo. Ciało zamienione w najczulszy instrument! Żadna sztuka nie jest tak bezpośrednia, osobista, ludzka jak taniec... — zacisnęła wąskie palce na poręczach fotela, jakby chciała powiedzieć jeszcze coś bardzo ważnego — coś, co się mówi ściszonym głosem, jak tajemnicę.

Przez chwilę nikt nie mówił. Ciszę przerwał Piotr. Odpowiedział jej coś, czego nie dosłyszałam, bo równocześnie zwrócono się do mnie z jakiemś pytaniem. Pochwyciłam tylko jego szczególny wyraz twarzy i skwapliwy pośpiech, z jakim podał jej ogień do papierosa.

Przy kolacji wyznaczono im miejsca naprzeciw siebie. Piotr poweselał.

— U mnie w ojczyźnie pije się z całym ceremonjałem. O, proszę uważać. Podnoszę kieliszek, skłaniam głowę, potem wychylam go, patrząc panu w oczy. Teraz kłaniam się znowu — mówiła Margareta z powagą.

— Od dzisiaj nie piję inaczej — odpowiedział Piotr, powtarzając jej ruchy. Śmieli się. Zauważyłam, że śmiejąc się, podnosiła lekko ramiona, jakby wtulając w nie głowę. Był to ruch bezradny i typowo kobiecy. — Oczy Piotra nabierały niespokojnych błysków, kiedy patrzył na nią. Odpowiadała mu spojrzeniem śmiałem i natarczywem.

Kiedyś, niedługo po naszym ślubie powiedział mi:

— Pamiętaj, jeżeli będzie ktoś inny w kręgu twoich zainteresowań — daj mi znać. Żebym wiedział. Żebym cię strzegł.

— Nie będzie nikt inny, Piotrze. Może to właśnie ty odejdziesz pierwszy.

— Czy nie rozumiesz, że ty jesteś jedna. Jedna kobieta na całym świecie.

— Pamiętaj.

— I ty pamiętaj.

A teraz traciłam Piotra. Wiedziałam o tem nieomylnością instynktu. Chciałam krzyknąć. Chciałam zrobić coś, żeby go opamiętać, zawrócić. Ale był tak pochłonięty tamtą, że nie dostrzegał mnie. Zapytałam go o coś. Odpowiedział pośpiesznie, na odczepne i wrócił czemprędzej do przerwanej rozmowy, do swoich nowych przeżyć, do słów, które zawierają wszystko, prócz ich właściwej treści. Oddawali się sobie oczyma. Jawnie w obecności wszystkich.

Kiedy wstaliśmy wreszcie od stołu, pani domu zapowiedziała, że Margareta zaśpiewa. Nie kazała się prosić. Akompanjowała sama. Ruchem pewnym, szerokim, jak objęcie, zagarnęła klawjaturę. Z nieporównaną techniką zagrała kilka szumnych pasaży. — Przeszła w nich w akordy. Z luźnych akordów związała się melodja, którą dopełniła śpiewem. Była to jakaś ballada.

Śpiewała cicho, tłumiąc swoje możliwości głosowe, ale głos ten, w miarę śpiewu narastał samorzutnie, jak wyzwalająca się z tam rzeka. Wypełnił sobą cały pokój i przez otwarte okna szedł w olbrzymią noc. Krąg światła stojącej na fortepianie lampy ujmował ręce, uwielokrotnione na klawjaturze i pełne, śpiewające usta. Reszta twarzy rysowała się trochę zatarta w cieniu i jakby nieważna wobec tych rąk ruchliwych i wyznających ust.

Patrzyłem na nią złemi oczami. Złośliwa zazdrość, od której zaciskają się szczęki, kazała mi szpiegować każdy ruch tej kobiety, każdy szczegół jej ubrania i ciała. Wszystko u niej było obliczone na efekt — suknia, z której swobodnie ukazywały się ramiona i piersi, nie piękniejsze od moich, bose, wypielęgnowane stopy w antycznych sandałkach, lakierowane złotem paznokcie. Nawet to, że nie malowała twarzy, było oryginalne i niezwykłe, może bardziej niezwykłe, niż ta suknia od Wortha, czy Patou w cichym dworze kresowym, oddalonym od stacji o 28 kilometrów wyboistej drogi.

Ze wstydem porównywałam siebie w mojej ciemnej, prostej sukni, z włosami uczesanemi w opatrzony do znudzenia wałek, z nogami w praktycznych czółenkach, z tą, która mi zabierała Piotra. Dałabym wszystko za to, żeby móc ją, kosztowną, wielkoświatową, uperfumowaną zaćmić w jakiś sposób. Żeby odwrócić od niej urzeczone oczy mego męża.

Kiedy odeszła od fortepianu, razem z innymi wyraziłam mój zachwyt. Zdobyłam się na to całym wysiłkiem woli.

Piotr włączył radjo na muzykę taneczną. Podszedł do mnie. Tańczyliśmy. Byłam bliska płaczu.

— Jedźmy do domu, Piotrusiu.

Popatrzył na mnie uważnie. Musiałam mieć żałosny wygląd.

— Ależ dobrze. Głowa cię boli?

— Tak. Może jednak zatańczysz z panią mi — powiedziałam, żałując odrazu mojej wspaniałomyślności, bo Piotr pośpiesznie się zgodził.

Poprosił Margaretę. Ja tańczyłam także. Starałam się nie patrzeć na nich, ale nasuwała mi się natrętnie przed oczy pochylona nad jej włosami twarz Piotra. Mówiła coś o mnie. Zdaje się o mojej urodzie, bo Piotr odpowiedział: „Jest nie tylko piękna. Jest dobra".

Byłam mu wdzięczna za te nic nieznaczące słowa. Sposób, w jaki zostały powiedziane i fakt, że mówił o tem tamtej kobiecie, spowodował u mnie nagłą zmianę nastroju. Wszystko wydało mi się przesadnie wyolbrzymione. Odzyskałam pewność siebie i swobodę ruchów. Nawet mój partner, włóczący mię pracowicie z kąta w kąt pod takt leniwej melodji, przestał być dopustem bożym. Uścisk ręki, obejmującej mnie silnie, nie był już natrętny i przykry. Odpowiadałam wdzięcznem spojrzeniem na jego typowo hreczkosiejskie komplementy.

Po dłuższym czasie Piotr znalazł nas w gabinecie, wysączających resztki truskawkowego likieru.

— Chciałaś jechać — zapuważył.

— Ależ nic podobnego. Dopiero teraz zaczęłam się bawić. Mignera mi przeszła.

Wracaliśmy bardzo późno. Noc była ciepła i jasna. Odprowadzałam oczami spadające gwiazdy, które znaczyły niebo świetlistemi smugami. Konie biegły ostro i pewnie po cichej drodze. Żeby nie przerywać milczenia, udałam, że śpię. Byłam spokojna. Postanowiłam wszystko przeczekać. Wiedziałam przecież, że Piotr wróci do mnie...

I tak się stało.

strów, znakomici uczeni warszawscy Korzon i Jabłonowski, kompozytor Noskowski, krytycy teatralni Bogusławski i Rabski, autorzy, powieściopisarze i autorzy dramatyczni, chyba wszyscy, bywali w Krakowie. Znani byli publiczności ze swych dzieł i z pism perjodycznych, znajdujących się w każdej większej cukierni i kawiarni, z „Kuryera", „Wieku", tygodników „Przeglądu Tygodniowego", „Wędrowca", „Biesiady Literackiej", „Tygodnika Ilustrowanego", „Prawdy", teatru i wystaw obrazów.

Na gościnne występy przyjeżdżali aktorzy warszawscy, ówczesne sławy, Królikowski, Ładnowski, Tatarkiewicz, Ludowa, Kotarbiński, Frenkiel.

Życie nie było tak, jak dziś skomplikowane i więcej uczucia poświęcano sztuce.

Umiano na pamięć i powtarzano sobie poezje Adama Asnyka i Kazimierza Tetmajera. Żyła w sercach Trylogja.

Uroczystością były wieczory, poświęcone operom Żeleńskiego, kreacjom scenicznym Heleny Modrzejewskiej, koncertom Paderewskiego.

Uroczystością artystyczną było otwarcie wystawy obrazów „Sztuka", pełniącej rolę awangardy nowych prądów malarstwa. — Członkami stowarzyszenia tego byli: Fałat, Axentowicz, Wyczółkowski, Stanisławski, Wyspiański, Włodzimierz Tetmajer, Malczewski, Ruszczyc, Mehoffer a prezesem Chełmoński. Nagrodzony wielkim złotym medalem na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu (takie medale mieli tylko Matejko i Siemiradzki), sława światowa, już samym swym wyglądem zwracał uwagę. Mocnej budowy, pleczysty, nosił ogromną, patrjarchalną brodę, błękitne jego oczy tchnęły naiwnością dziecka, a spokój, jakby świątobliwość w twarzy nadawał mu pozór proroka ze Starego Testamentu. W ubraniu zaniedbany, w obejściu roztargniony, nie zmienił się od czasu, gdy w Paryżu ukazywał się na bulwarach, w otoczeniu, stale wspieranych przez niego łazików i gromady psów myśliwskich. Genjusz, człowiek pierwotny, zadawał kłopotliwe, naiwne pytania, co później w Krakowie było przedmiotem licznych anegdot.

Lecz największe zainteresowanie, podziw i cześć, wywoływała osoba Henryka Sienkiewicza. W Krakowie szkicował epos „Ogniem i mieczem". W Krakowie, mieszkając w hotelu Saskim przy ulicy Sławkowskiej, z notatek, przywiezionych z Afryki, odtwarzał swe wrażenia dla „Listów z Afryki". — W Krakowie pisał drugi tom „Quo Vadis".

Znaczenie Sienkiewicza w historji tego czasu było takie, że czuł się w prawie, aby po mowie malborskiej cesarza Wilhelma II, ogłosić do niego List Otwarty.

Sienkiewicz zżywał się z Krakowem, „kamienną kroniką Polski" i jego ludźmi.

Ci, wśród których przebywał, jego przyjaciele i znajomi, to rasowi historycy. Stanisław hr. Tarnowski, historyk literatury. Stanisław Tomkowicz, historyk Wawelu; Karol Potkański, historyk czasów prapiastowskich; Kazimierz Morawski, humanista i historyk Uniwersytetu Jagiellońskiego; Stanisław Koźmian, historyk powstania w roku 1863-im; Bolesław Ulanowski, sekretarz Akademji Umiejętności, historyk i wydawca polskich druków średniowiecznych.

Szkoda, że jakiś cud nie utrwalił rozmów i pogawędek z nimi. Z tych rozmów narodził się projekt uszlachetnienia, tak od lat zaniedbanego wnętrza Katedry wawelskiej, a w lata później odzyskania od rządu austrjackiego Zamku wawelskiego, pozostającego wówczas w stanie takiej ruiny i poniżenia, że ich grozę mógłby odtworzyć chyba ołówek Grottgera.

Teraz, gdy w Warszawie zorganizował się komitet budowy pomnika, byłoby słusznem życzyć, aby w Krakowie, w Hotelu Saskim, gdzie Sienkiewicz mieszkał i pracował, była wmurowana tablica dla upamiętnienia czasu, poświęconego, jak czytamy pod epilogiem „Pana Wołodyjowskiego": „dla pokrzepienia serc naszych i zbudowania lepszej przyszłości".

AMERICAN GIRLS
Fot. Paramount





Klęcząc opieramy się dłońmi na podłodze.

10 MINUT GIMNASTYKI PORANNEJ

Jedną z najważniejszych części składowych naszego organizmu jest stos pacierzowy, kryjący w misternie łączących się i poruszających kręgach, odżywkę nerwową, połączenie z mózgiem, którego impulsy rozbiegają się nerwami po całem ciele. Utrzymanie stosu pacierzowego w stanie niekrępowanej niczem gotowości po kres życia, jest obowiązkiem każdego i każdej z nas. Odpowiednie ćwiczenia gimnastyczne dopomóc mogą jednak radykalnie do uzyskania należytej gibkości stosu pacierzowego, czego rezultatem będzie lepsza postawa i uelastycznienie wszelkich ruchów.

Ćwiczenie I. W pozycji klęczącej pochylamy się wprzód i opieramy dłonie na podłodze z wyciągniętymi przed siebie palcami. Następnie przyjmujemy pozycję rąk z dłońmi zwróconemi ku sobie i nóg, prostopadłą do tułowia, rozpoczynając wyprężanie grzbietu w górę i opuszczanie go ku ziemi. Czynimy to z wielkim spokojem, nie współdziałając innymi mięśniami, tak, aby pracowały tylko muskuły barkowe i brzuszne. Im wyższe nastąpi wyprężenie ku górze i niższe opadnięcie tułowia, tem będzie lepiej. Po 10-krotnem przećwiczeniu należy wypocząć w pozycji leżącej na brzuchu z podłożonemi pod głowę dłońmi.

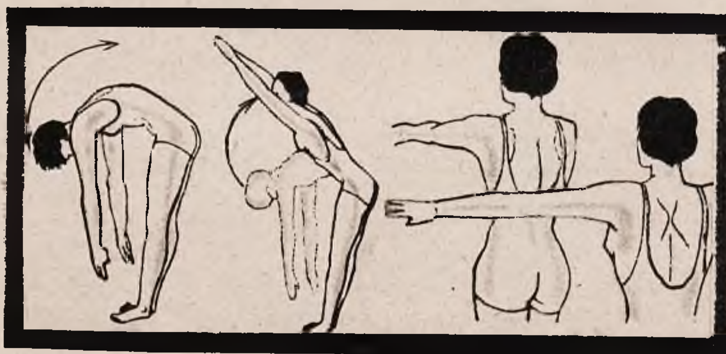
Ćwiczenie II. Stajemy łącząc stopy, poczem pochylamy się z rękami opuszczonemi w ten sposób, aby kręgosłup był silnie napięty, a kręgi jak gdyby wysuwały się ze siebie wskutek silnego naprężenia spoideł (rycina 3). Wracamy do pozycji zasadniczej, przejęci celowym wysiłkiem powrotnego spajania się kręgów. Ćwiczenie to dla uelastycznienia kręgosłupa powtarzamy 10 razy.

Ćwiczenie III. W pozycji pochylonej jak w poprzedniem ćwiczeniu wyprostowujemy kręgosłup jednym szybkim ruchem ku górze z ramionami wyprężonemi, przyczem nie dochodzimy do pozycji pionowej, lecz zatrzymujemy się, zachowując kąt otwarty pomiędzy nogami a brzuchem, który mocno wciągamy do środka. Ramiona trzymać przytem wąsko, jakby przylepione do uszu. Powtórzyć 10 razy.

Ćwiczenie IV. W pozycji stojącej wyciągamy ramiona ku przodowi, trzymając dłonie na zewnątrz, następnie rozkrzyżowujemy ramiona, przyczem następuje silny skurcz mięśni barkowych, a łopatki zbliżają się do kręgosłupa. Powtórzyć 15 razy.

Ćwiczenie V. W pozycji leżącej na brzuchu z dłońmi na krzyżach unosimy tułów w górę, ruchem wolnym i spokojnym bez nadwyrężania kręgosłupa, uważając, by wysiłek koncentrował się w połowie pleców, w tem miejscu, gdzie kończą się łopatki. Powtórzyć 12 razy.

Vera.



Od lewej: Pochylamy się z wyprężonemi ramionami, by się następnie wyprostować, wyprężając w dalszym ciągu ramiona (ryc. 2). Na trzeciej ryc. widzimy, jak należy wyprężać ramiona wprzód i rozkrzyżowywać je.

Poniżej: W pozycji klęczącej unosimy plecy ku górze.







1 Przód układa się w loczki, podczas gdy partja włosów z tyłu, oddzielona i spięta szpilkami czeka na swoją kolej.

2 Boki tylnej partji włosów fryzjer zaczesał tymczasowo w górę. Trójkąt nad karczkiem musi być umiejętnie wystrzyżony.

3 Tu widzimy ten trójkąt już wystrzyżony, a fryzjer po wysuszeniu włosów i wodnej ondulacji przystępuje do podczesywania boków.

SALON PIĘKNOŚCI „ASA":

FRYZURA 1938



We wszystkich zakładach fryzjerskich słyszymy teraz rozpaczliwe wzdychania nad rewolucyjną fryzurą, która rozpowszechnia się coraz bardziej, jakkolwiek krótkie do niedawna włosy sprawiają niejedną trudność w zastosowaniu do nich nowego sposobu czesania.

Teraz dopiero rozumiemy wyraźnie, jak wygodna była fryzura z krótkich włosów, zdegażowanych nad karkiem lub spadających puszysto na uszy i szyję. Ale wzdychamy do niej napróżno. Los jej został przesądzony podczas tegorocznej imprezy „Rainbow room" na Rockefeller Center w New-York City, na której powołano do życia „fryzurę 1938".

Tylko w pierwszej chwili wydaje się ona tak trudna do powszechniejszego użytku, bo można traktować ją bardzo indywidualnie i w wielu warjantach, zaczynając od ułożenia loków z dłuższych włosów i czekają aż inne podrosną.



Powyżej: Słynny mistrz kobiecej fryzury, Perc Westmore przy pracy w swem atelier w Hollywood.





4 I oto fryzura skończona! — Tak prezentuje się ona z tyłu — zwraca uwagę układ boków, zachodzących na wystrzyżony trójkąt.

5 Tu widzimy nową kreację en face. Nad czołem zachodzą fale na siebie, a jeden loczek spada nisko nad lewem okiem.

6 Fryzura, widziana z profilu, podkreśla młodzieńczy charakter nowej kreacji i rolę ucha zupełnie odsłoniętego.

Tymczasem przyznajmy odrazu, że jest to fryzura w całem tego słowa znaczeniu piękna i elegancka. Już pani nie będzie patrzyła z przykrością, iż Kasie i Marysie naśladują jej sposób uczesania się, jak to niedawno stało się powszechnem zjawiskiem. Obecnie nie będzie tak łatwo naśladować artystyczne upięcie loków, wykonanych wprawną ręką dobrego fryzjera. Będziemy więc mogły cieszyć się indywidualną fryzurą, bez obawy napotykania dobrych kopij. Tych będzie mało. A złe kopje nie będą nas interesowały.

Przyjrzyjmy się nowej fryzurze od strony historycznej, bo ta jest istotnie ciekawa, jako stopienie aż trzech stylów fryzur i to bardzo od siebie odległych. A więc mamy w niej greckie spłaszczone loki, różniące się zasadniczo od wałeczków z ostatniej doby. Te misterne loczki, wymagające dużych zasobów sztuki fryzjerskiej, umieszczone są na szczycie głowy, naprowadzając nas na źródło tej fryzury, zaczerpnięte z fryzur epoki Ludwika XV. A wreszcie trzeci element nowej fryzury, odsłonięcie linij karku, uszu i skroni, odnieść trzeba do mody francuskiej z przed 100 lat (1818). Stopienie tylu czynników stylu w jednem uczesaniu głowy, udało się twórcom fryzury najzupełniej.

Obierając fryzurę dla swego typu urody, trzeba pamiętać o paru zasadniczych sprawach. Przy twarzy pociągłej, wydłużonej, przy uwydatniających się kościach policzkowych, trzeba unikać zbytniego wzniesienia loków na szczycie głowy. Loki w tym wypadku muszą być umieszczone niżej, ku tyłowi, aby nie wydłużać jeszcze bardziej profilu.

Twarz okrągła, delikatne rysy, mały nosek — to typ urody, predestynowanej dla nowej fryzury. Tu bez obawy można odczesać włosy gładko wokół linij skroni, uszu i karku, aby spiętrzyć loki na szczycie główki.

Dokończenie na str. 31-ej

Rewja NAJPIĘKNIEJSZYCH futer

Dla blondynek bardzo twarzowe są futra sealskinowe (Model wolnego płaszcza, zapiętego na jeden guz pod szyją).



Na lewo: Szeroki, trzyćwierciowy płaszcz z popielic lub nurków. RYS. EWA LEO.



Na prawo: Model sportowego futra z imitacji bobrów (bliżej) — i płaszcz z perskich baranków, zapinany z przodu na guziki.

Klejnoty i futra — to największe ozdoby kobiety. Wiedziała ona o tem oddawna, skoro już w jaskini odziewała się w skóry koźlęce, a gdy zmądrzała — w lamparcie, przeczuwając, że kiedyś dojdą one do mody i trzeba je będzie nabywać za drogą walutę. Narazie, wystarczyło poprosić męża, aby „zamachnął" się na panterę czy ocelota maczugą i bez dalszych ceremonij zdarł z niego skórę. Usłużny małżonek chętnie dostarczał swej połowicy nowych tualet, jakoże korzystał przy tej sposobności w kierunku gastronomicznym, zajadając przy ognisku upieczoną pieczeń z zabitego dla futra zwierzęcia. Piekł dosłownie dwie pieczenie przy jednym ogniu, robiąc zarazem przyjemność swej pani, a sobie urozmaicając „menu".

Dziś już mężowie znacznie trudniej zdobywają się na takie upominki. To też piękne futra stanowią często niedościgłe marzenie pięknych pań. przedmiot ich najżywszych pożądań, cel westchnień... Trudno się temu dziwić, szczególnie jeśli się zważy, że kunszt futrzarski od czasów jaskiniowych postąpił spory krok naprzód, preparując i — rzecby można — cyzelując skóry zwierzęce w tak misterny sposób, że sami naturalni ich „dostawcy" z trudem poznaliby w nich własne skóry. Naturalne futra podlegają bowiem długotrwałym i skomplikowanym procesom garbowania i wyprawiania, strzyżenia, czesania itp. Toteż rozmaitość ich jest niemal nieograniczona, a corocznie paryskie domy futrzarskie lansują coraz to nowe przeboje, „jakich nikt jeszcze dotąd nie widział". A o to przecież chodzi!

Naprzykład w tym roku: ostatnie sezony zimowe tak nas pod względem futer zepsuły, że zdawałoby się, iż nic nam już w tej dziedzinie nie może zaimponować. A jednak gdy przyjrzymy się rewji najnowszych modeli, musimy przyznać, że pomysłowość i kunszt paryskich futrzarzy nie mają wprost granic.

Bo skądże są np. te śliczne, lśniące zorinosy? albo kto z nas widział kiedy w życiu takie przepiękne biało-srebrne lisy, których śnieżna biel przyprószona jest zaledwie ciemnymi końcami włosa?

Albo ktoby przypuszczał, że z długowłosych, nieco ciężkich oposów można robić takie piękne płaszcze? A nowe zestawienia: breitschwanze czarne, ozdobione wyłogami i kołnierzem z popielatych, białe, krótko strzyżone mongolskie baranki, obszyte wąskimi pasami z czarnego sealskinu, itp.

Kroje wykazują nieskończoną ilość fasonów: od wciętych, ku dołowi kloszowych płaszczy z cienkich, krótkowłosych futer,



poprzez luźno trzyćwierciowe kaftany, do prostych, sportowych w kroju, kieszeniami ozdobionych palt, lub krótkich, obcisłych bolerek z wysokiemi bufkami u nasady rękawów. Kołnierze mogą być ogromne, pelerynkowe, małe wykładane, a nawet — nieistniejące, wtedy w gładkie wycięcie u szyi wsuwa się szykownie związany szalik lub chustkę, względnie wiąże się pod brodą śmiałą kokardę z szerokiej morowej lub aksamitnej wstążki.

Czasami, nieobecny kołnierz zastępuje rodzaj kapiszonu czy kapuzy, który można nasunąć na głowę, opuścić lub wogóle odpiąć.

Podobne zapięcia dają w tym roku tysiąc możliwości: niektóre, szerokie i luźne futra obchodzą się bez nich zupełnie. Nosi się je poprostu pół-otwarte. Inne zamyka się praktycznym błyskawicznym zamkiem od góry do dołu. Jeszcze inne wiąże się pod szyją lub w pasie szeroką wstążką, futra zaś

Na prawo: Oryginalny, trzyćwierciowy płaszcz sportowy z brązowych popielic, bez kołnierza, z paskiem i guzikami ze skóry.

Na lewo: Kombinacja czarnych i popielatych breitschwanzów jest ostatnim krzykiem tegorocznej mody.



Na prawo: Dla szczupłych, wysokich kobiet stworzono ten oryginalny model płaszcza z naturalnych oposów.

obcisłe, o wciętej talji zapina się środkiem na szereg guzów futrzanych. Przy futrach sportowych widuje się w tym roku paski i guziki z zamszu lub skóry, np. brązowe przy ocelotach, ciemno-zielonej przy srebrnych fokach, czarnej przy popielatych barankach.

Jak widzimy Pani Moda zatroszczyła się w tym sezonie o to, aby jej adeptki szły na spotkanie zimy, zaopatrzone w piękne i nowe futra. Jeśli jeszcze w portfelu pięknej pani lub jej męża znajduje się odpowiednia kwota na te futrzarskie inwestycje — wszystko będzie w porządku, a jeśli nawet nie, to i tak przyjemnie jest wiedzieć, o czem się ma marzyć! Dlatego też zaprezentowaliśmy naszym Czytelniczkom tę rewję najmodniejszych futer.

Lady Like.



Na prawo: Elegancki „trois-quarts" z czarnych źrebców, z tyłu bardzo szeroki, z przodu ściągnięty paskiem skórzanym. RYS. EWA LEO.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA Z BRUKSELKI. 25 do 30 dkg brukselki oczyszcza się z wierzchnich listków, obcina twarde końce, przemywa, osącza i parzy wrzącą wodą. Następnie zalewa się ją litrem wody, dodaje marchewkę, pietruszkę, kawałek selera i małą cebulkę lub pora, i nastawia do gotowania. Osobno gotuje się 20 dkg wędzonki, a gdy wszystko ugotowane, kraje się wędzonkę w kostkę i wrzuca wraz z wybranemi główkami brukselki do wazy; resztę brukselki przeciera się przez sito, miesza ze smakiem, podprawia łyżką zasmażki, zagotowuje i wylewa do wazy na przygotowane tam dodatki.

KARCZOCHY I KARDY mało u nas używane jarzyny, znane może tylko podróżującym zagranicą, gdzie są bardzo lubiane. Przygotowanie ich wymaga wiele zachodów. **Karczochy** (przy zakupnie należy wybierać sztuki wydłużone niezbyt ciemne). Spiczaste wierzchołki przycina się nożyczkami. Pierwszy rząd liści należy odrzucić. Włókniste części znajdujące się wewnątrz róży, wydrąża się łyżeczką od ziemniaków, wymywa dokładnie, osącza i wkłada do gotującej wody z solą, szczyptą cukru i łyżeczką soku cytrynowego. Gotować się powinny 30—40 minut. Gotowe są wtedy, kiedy liście łatwo się odrywają od środka. Wyjęte z wody układa się je na sicie liściem na dół, aby dobrze z wody ociekły, następnie układa się je na półmisku liściem do góry i podaje z rumianem masłem z bułeczką lub też z sosem holenderskim osobno w sosjerce. Karczochy podaje się też na zimno, wtedy stosuje się do nich sos „remoulade“, który się sporządza z zwykłego sosu majonezowego, dodając do niego łyżeczkę musztardy oraz siekanej pietruszki, lub szczypiórku i zaostrza białym pieprzem. — **Kardy**, jarzyna Karczochom pokrewna, jednak o zupełnie odmiennym wyglądzie. Raczej podobne są do dużych wydłużonych głów sałaty głowiastej. Kolor kardów jest jasno zielony. Jadalne części tej jarzyny stanowią łodygi, które się kraje w kawałki długości palca i gotuje w słonej wodzie z solą i sokiem cytrynowym. Gotuje się je tak długo, aż dadzą się z włókiem obrać. Obrane wkłada się do ryneczki na masło, zalewa trochę rosołu i gotuje aż będą miękie. Po wyjęciu z rosołu można je podać jak szparagi, lub też zaprawić rosół, w którym się gotowały zasmażką, dodać troszkę wina i cukru do smaku i podać ten sos osobno, kardy zaś obłożyć na półmisku krokietkami z bułki lub ryżu.

KANAPKI BAŁTYCKIE. 10 dkg szprotków oczyszcza się ze skórki i ości, miele lub rozciera widelcem na gładką masę z dodatkiem łyżki masła deserowego, szczypty soli i białego pieprzu, łyżeczki soku cytrynowego i paru twardych żółtek. masę tę dobrze wymieszaną nakłada się na cienkie krajanki bułki osmażonej w maśle. Z wierzchu przybiera się kanapki masłem sardelowem i zieloną pietruszką.

KAPŁON LUB KURA „A LA GOURMET“. 25 dkg mięsa cielęcego z kawałkiem łoju od nerki miele się wraz z małą bułeczką rozmoczoną w mleku i następnie wyciśniętą. Zmielone mięso uciera się z 1—2 jajami, dodaje 5 dkg cieniutko skrajanychpieczarek, parę szyjek rakowych lub pokrajaną w plasterki wątróbkę. Farszem tym napełnia się szyję oraz miejsce między piersią a skórą, którą się ostrożnie trzonkiem łyżki od mięsa oddziela. Po zaszyciu lub owiązaniu szyjki od góry okłada się kurę płatkami młodej słoniny i piecze na rożnie lub w brytwance przy częstem polewaniu spływającym tłuszczem. Przy końcu zdejmuje się słoninkę, obrumienia drób z wszystkich stron. Pokrajaną i złożoną z powrotem na półmisku kurę, okłada się dookoła plasterkami wykrojonemi z szyjki. Osobno podaje się kompot lub zieloną sałatę.

TORT SEROWY. 50 dkg sera białego nie kwaśnego wałkuje się na stolnicy aż nabierze gładkości masła. 12 dkg masła uciera się z 4 żółtkami, dodając po trosze przygotowany poprzednio ser i 25 dkg mączki cukrowej z wanilją oraz łyżkę gotowanych ziemniaków, przetartych przez sito. Do gładko utartej masy dodaje się pianę z 2 białek, oraz łyżkę sypkiej mąki. Do sera dodaje się też parę deka rodzynek, cykaty lub skórek pomarańczowych. Masę nakłada się do formy natartej masłem i wysypnej mąką i piecze w wolnym piecu przez godzinę. Tort musi stygnąć w formie, inaczej rozleci się przy wyjęciu. Suto osypany cukrem waniljowym lub pokryty lukrem tort, należy krajać dopiero na drugi dzień po upieczeniu.

JABŁKA W CIEŚCIE BISZKOPTOWEM. Równej wielkości jabłka, kwaskawe, niezbyt duże, obrane ze skórki, wydrąża się nożykiem, poczem się je obgotowuje w słodzonej wodzie, uważając, aby zupełnie nie zmiękły. Wyjęte z wody, napełnia się je morelową lub inną konfiturą, ustawia w rynce ciasno jedno obok drugiego, zalewa ciastem biszkoptowem (przepis poniżej) i wstawia do gorącego piecyka na 10—15 minut. Zrumienioną leguminę podaje się w tem samem naczyniu, owiniętem serwetą. Na ciasto biszkoptowe uciera się 2 żółtka z dwiema łyżkami cukru, dodaje pianę z 2 białek i dosypuje dwie łyżki mąki. Lekko wymieszaną masę wlewa się na całą powierzchnię jabłek tak, aby były nią nakryte.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Siekacz do jarzyn, który widzimy obok na naszej ilustracji, posiada liczne okrągłe ostrza, czyniące użycie jego prostem i łatwem. Siekacz kraje jarzyny niezwykle dokładnie i równo.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 48 — **Listopad** — 30 dni

Dzień	Jadłospis
NIEDZIELA 20 Feliksa	Zupa ragoût z drobiu. Kardy w sosie. Kapłon nadziewany. Kompot. Tort serowy. Kolacja: Pasztet z kwiczołów z sałatą.
PONIEDZ. 21 Ofiar. NPM.	Rosół z pulpetami. Sztuka mięsa z sosem chrzanowym. Pieczeń sarnia z borówkami. Budyń orzechowy. Kolacja: Strudel z słodką kapustą.
WTOREK 22 Cecylii	Zupa pomidorowa z ryżem. Płucka cielęce w sosie cytrynowym. Kotleciki baranie z kaszką krakowską. Kompot mieszany. Kolacja: Szpinak z jajami.
ŚRODA 23 Klemensa	Zupa kalafiorowa. Omlet z grzybami. Rozbef w garniturze z jarzyn. Szarlotka z jabłek w kruchem cieście. Kolacja: Ziemniaczki pieczone faszerowane szynką.
CZWARTEK 24 Emilii	Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Faszerowana kapusta. Zrazy zwijane z kaszą. Mędrzyki z bitą śmietaną. Kolacja: Naleśniki z mięsem.
PIĄTEK 25 Katarzyny	Barszcz zabielany z twardem jajem. Fasolka szparagowa lub brukselka. Karp na niebiesko z sałatą ziemniaczaną. Knedelki z powidłami. Kolacja: Kanapki bałtyckie.
SOBOTA 26 Konrada	Rosół z groszkiem ptysiowym. Hachée z sadzonem jajem. Kotlety wieprzowe duszone w kapuście. Biszkopt z sokiem. Kolacja: Parówki z chrzanem.

HOCKI-KLOCKI

PRZED WYSTĘPEM W CYRKU.



— Zdaje się, że zdobyłem już odpowiednią wprawę w rzucaniu nożami. Będziemy mogli, panno Alicjo, wystąpić tego wieczoru razem... („Va")

W OBOZIE.

„W obozie wakacyjnym — rzekł pan Gwizdek do pana Świstaka — podzieliliśmy chłopców na 3 oddziały: Lwów, Tygrysów i Niedźwiedzi. Oddział Lwów był najsilniejszy. Każdy z chłopców musiał się specjalizować w jednej z 3 umiejętności: w kartografji, pionierce lub tropieniu zwierząt. Zależnie od obranej umiejętności podzieliliśmy chłopców na 9 grup, po 3 grupy w każdym oddziale. Największa ilość chłopców specjalizowała się w kartografji, a najmniejszą w tropieniu zwierząt. Przytem zauważyłem, że iloczyn trzech grup kartograficznych równał się iloczynowi trzech grup pionierskich, a także i iloczynowi trzech grup tropicieli. Tenże sam iloczyn był również i iloczynem ilości chłopców należących do 3 różnych grup w każym oddziale". Ile tygrysów specjalizowało się w pionierce? **Uwaga:** zadanie to ma wiele równie dobrych rozwiązań.

NIC ŁATWIEJSZEGO.



— Jeżeli jest pani zimno, to niech się pani trochę przysunie do ognia! („Happy May")

Rozwiązania z Nru 46-go.

WODA I WINO.

Po obu przelaniach w butelce wina było tyleż wody, co w dzbanku z wodą — wina.

CIĘŻKIE CZASY.

Mąż może wypłacać pensje ogrodnikowi, szoferowi i damie do towarzystwa tylko przez 14 dni.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

PROFESOR UŁAMEK W POCIĄGU.

Gdy profesor jechał z Warszawy do Krakowa w pociągu jadącym z szybkością 40 km na godz., pociągnął za hamulec i zatrzymał pociąg właśnie w chwili, gdy mijał go pociąg, jadący z Krakowa do Warszawy z szybkością 50 km na godz. Czas mijania wyniósł $3\frac{1}{2}$ sek.

Profesor, płacąc karę, tłumaczył, że chciał się dowiedzieć, jaka jest długość pociągu, w którym jechał. Pociąg prof. Ułamka miał 84 m długości. Czy Czytelnicy mogą obliczyć długość pociągu, idącego z Krakowa do Warszawy?

PIENIĄDZE.

Przy końcu bieżącego miesiąca Antek i Dodek byli prawie że bez pieniędzy. Antek miał o $1\frac{1}{4}$ zł. więcej od Dodka. Gdyby jednak Antek dał Dodkowi $\frac{1}{5}$ posiadanych pieniędzy, wówczas Dodek miałby o $1\frac{1}{4}$ zł więcej od Antka. Ile każdy z nich ma pieniędzy?

Dokończenie z str. 27-ej

Ale jedno jeszcze małe zastrzeżenie: kark i uszy wymagają teraz systematycznej pielęgnacji, gdyż okrywane tak długo włosami, w wielu wypadkach okazują się tak zaniedbane, że same panie uciekają przed nowem uczesaniem. Oczywiście, że takie małe zaniedbania dadzą się łatwo usunąć, ale nie wolno o nich zapominać. Wieloletnie używanie maszynki do strzyżenia czy brzytwy, pogrubiło skórę na karku i spowodowało trwałe jej zaczerwienie. W innych wypadkach nagromadziły się w tem miejscu złoża tłuszczu, które trzeba rozmasować i zmywać spirytusem.

Także i uszka można niewielkim trudem doprowadzić do „kwitnącego" stanu. Kilka razy na dzień rozmasować delikatnie koniuszek ucha wielkim i wskazującym palcem. Wychodząc na chłodniejsze powietrze, natłuścić go delikatnie kremem, podobnie jak i ręce. Przy maquillage'u dać odrobinę różu na koniec ucha, łączący się bezpośrednio z policzkiem. To wszystko doda żywotności muszelce usznej, która jest przecież jednym z ważnych atutów piękności.

Nowa fryzura wydobywa te atuty, każe im grać rolę dominującą, jakkolwiek w pierwszej chwili wydaje się to nam nieprzygotowanym efektem. Niemniej ze stanowiska czysto estetycznego powitać trzeba z uznaniem nową fryzurę właśnie za to, że odsłania piękno szyji, uszu i skroni, nie zakrywając zresztą w zupełności czoła, na które lekko tylko spadają misterne loczki.

Cykl zdjęć fotograficzny, zamieszczonych na str. 27, pokazuje nam typ nowej fryzury i fazy przygotowywania włosów do takiego zaczesania. Jest to fryzura słynnego fryzjera Hollywood, Pere Westmore'a. Widzimy go na jednem ze zdjęć, jak przycina włosy gwiazdy filmowej Jane Wyman. Piękna ta wieczorowa fryzura pokazana jest tutaj i „en face" i z tyłu i z profilu. Charakteryzuje ją zgrupowanie płaskich loczków na szczycie głowy, przyczem jeden spada na czoło, nad którem linja włosów ślicznie jest modelowana falistością pukli i wykończeniem loczków. Gdy spojrzymy na fryzurę od tyłu, widzimy, że wszystkie włosy są odczesane do góry, nieondulowane, a tylko końce ich tworzą misterne loczki, grupujące się środkiem głowy od karku do czoła, nad którem skupiają się najgęściej.

Aby uzyskać piękną linję fryzury nad karkiem, gdzie porost włosów jest najobfitszy, wycina Perc Westmor trójkąt włosów nad karczkiem. Trójkąt ten ma za podstawę linję karczku pięknej pani, a zwęża się ku górze. Przy wycinaniu go postępuje Perc Westmor w ten sposób, że u podstawy trójkąta wycina włosy całkiem krótko a ku szczytowi trójkąta przechodzi w włos nieco dłuższy, degażując go tylko do 5 cm długości.

Pozostałe włosy zaczesuje gładko do góry, przyczem wycięty trójkąt znika, bo zachodzące z obu stron pozostałe włosy zakrywają go, a końce ich zakręcone w loczki, schodzą się w tem miejscu ze sobą. Gdyby nie fakt wycięcia trójkąta włosów, powstałoby w tem miejscu takie zgęszczenie masy włosów, że fryzura nie mogłaby dać pożądanego efektu, polegającego na wysmukłym kształcie głowy, która wykwita nad młodzieńczą linją karku nieskazitelnym rysunkiem.

I tu występuje zasadnicza różnica pomiędzy dawną fryzurą przedwojenną, której styl polegał na odczesaniu włosów do góry, ale stwarzał z tyłu nad karkiem wypukłość niemożliwą do usunięcia, a często powiększaną przez klamry i grzebienie. Teraz tył głowy zachowuje naturalny kształt, bo nadmiar włosów został wycięty przed uczesaniem.

Fryzura Perc Westmore'a zrobiona jest naturalnie przy pomocy trwałej ondulacji, która ułatwia tworzenie loczków i gwarantuje ich długi żywot. **Mewa.**

O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

KRAKÓW. Dyr. Frycz wystawił na scenie teatru im. Słowackiego **„Balladynę"** we własnej reżyserji i oprawie dekoracyjnej. Rolę tytułową zagrała p. Zofja Jaroszewska. Aliną była p. Romana Pawłowska, Pustelnikiem p. Wacław Nowakowski, Kirkorem p. Stefan Czajkowski, Wdową p. Bronisława Janikowska, Filonem p. J. Jaroń, Kostrynem p. Tadeusz Burnatowicz, Grabcem p. Władysław Woźnik, Goplaną p. J. Jabłonowska, Chochlikiem p. M. Bednarska, Skierką p. A. Matusiakówna. Całość wywarła doskonałe wrażenie, — szczególnie upamiętniły się epizody w zamku Kirkora, namiocie Balladyny i sali tronowej.

KATOWICE. Teatr im. Wyspiańskiego o zaprezentował **„Krawca w zamku"**, komedję muzyczną Armonta i Marchanda, graną przed półtora rokiem w Krakowie. Reżyserję powierzono p. Władysławowi Biegańskiemu, który dobrze wywiązał się z zadania. Ponadto p. Biegański odtworzył jedną z ról. Tu również trzeba wymienić pp. Tatarkiewicza, Szembekównę, Brachowską, Winiaszkiewicza, Jastrzębskiego. Dekoracje projektu p. J. Jarnutowskiego.

POZNAŃ. Teatr Polski wystawił **„Ich czworo"** Zapolskiej w reżyserji p. Koreckiego. Oprawę dekoracyjną skomponował p. Z. Szpingier. Role główne przypadły pp. Wieczorkowskiej, Rewkowskiemu, Dytrychowi, Baronównej.

NOWE KSIĄŻKI

„Literaci i grafomani z czasów Królestwa Kongresowego". J. S. Bystroń. (Książnica— Atlas).

Nowa praca prof. Bystronia jest o tyle niezwykła, iż przynosi sylwetki nie tylko wybitnych literatów, lecz także trzeciorzędnych różnych autorów, których autor określa mianem „grafomanów". Ale ci grafomani to byli niejednokrotnie ciekawe postacie na tle swej epoki, ich działalność stanowi cenny przyczynek do poznania ówczesnej obyczajowości, zwyczajów, atmosfery i środowiska.

Zresztą niekiedy lichy autor kładł zasługi na innem polu. Tak np. za „jedną z najświetniejszych postaci epoki" poczytuje prof. Bystroń słabego tragedjopisarza a zasłużonego chemika. Aleksandra Chodkiewicza.

Prof. Bystroń stara się też wydobyć z cienia autorów niesłusznie pogrążonych w cieniu zapomnienia. Podkreśla np. zalety trawestacji „Eneidy" Ferdynanda Chotomskiego, natomiast — jak się wyraził jeden z recenzentów książki prof. Bystronia — „dobija" Marcina Molskiego.

Autorowi zależy przedewszystkiem na odtworzeniu dawnej atmosfery, na ukazaniu owych literatów z Królestwa Kongresowego niejako pisać „en pantoufles", w zaciszu domowem, wraz z ich osobistemi, codziennemi upodobaniami. Odnosi się to wybornie do rozdziału o patrjarsze piśmiennictwa doby ówczesnej — Juljanie Ursynie Niemcewiczu.

Twórca popularnych „Śpiewów historycznych" i „Bajek" ukazuje się nam w książce prof. Bystronia jako nietylko w nimbie chwały i uznania ,ale również tak, jak to było w życiu powszedniem: jako człowiek towarzyski, lubiący otoczać się pełnemi uznania, słuchaczkami jego utworów. Trzeba dodać, że poeta chętnie sam czytywał swoje wiersze, ulegając przytem wzruszeniu. Niemcewicz rad słuchał wieści z szerokiego świata, często też udawał się z podstołecznego Ursynowa do Warszawy.

O kimże jeszcze pjsze prof Bystroń? Oto dalsze konterfekty: Kajetan Koźmian, Ludwik Osiński, Franciszek Morawski, Stanisław Kostka Potocki, Ignacy Humnicki, wreszcie osławiony Jaxa Marcinkowski.

E. Szelburg-Zarembina. „Legendy Warszawy". Gebethner i Wolff.

Warszawa zaczyna szukać rodowodów swej chwały w starych murach. Jaka książka może być bardziej na czasie, jak nie „Legendy Warszawy", zebrane i opracowane przez E. Szelburg-Zarembinę i pięknie z drzeworytami S. Mrożewskiego wydane przez Gebethnera i Wolffa?

Zpośród naszych podań i klechd, którym ich zbieracze w myśl pewnych przebrzmiałych teoryj, starali się nadać postać jak najbardziej skromną, „kmiecią" i odbarwioną, „Legendy Warszawy" wyróżniają się przepychem barw, potęgą opisywanych charakterów, demonizmem zdarzeń. Jest tych legend dziesięć, a każda inna, odmiennym świeci blaskiem. Od zamierzchłych baśni pogańskich, do legend z epoki stanisławowskiej — każda z nich utrzymana jest we właściwym stylu historycznym, a wszystkie razem dają jakby w świat fantastyczny wprowadzone dzieje wzrostu Warszawy. Rzetelne studja archiwalne i tradycje ludowe przetopiły się w twórczej wyobraźni autorki „Wędrówek Joanny", odzyskując całą swoją pierwotną świeżość i siłę. Tragizm i humor, sentymentalna zaduma, zapał bojowy i groza niesamowitości — oto motory wzruszeń czytelnika tej książki, który po jej przeczytaniu zupełnie inaczej spogląda na Warszawę: pogłębioną w perspektywie historycznej, owianą poezją, ufantastycznioną duchem przeszłości.

Agatha Christie „Karty na stół" Universum.

Wśród książek o treści detektywicznej, jakich dziesiątki ukazują się w ciągu roku na półkach księgarskich, „Karty na stół" Agaty Christie wyróżniają się korzystnie oryginalną fabułą i zgrabną charakterystyką osób. Akcję zapoczątkowuje tajemniczy zgon pewnego światowca, którego wyjątkowy tryb życia w połączeniu z niepospolitemi upodobaniami do wiecznej pogoni za sensacją stwarzają kulisy dramatu czworga osób — partnerów bridża. Ta czwórka dostaje się w kleszcze policyjnego śledztwa, przedstawionego w powieści bardzo plastycznie, przyczem autorka wprowadza śladem Conan Doyle'go postać prywatnego detktywa, rozwiązującego problemy śledcze drogą własnych, ciekawych metod. — Bardzo słabe tłumaczenie powieści na język polski nie zdołało zabić walorów angielskiego oryginału.

J. L.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 20 listopada.

9.15 W 20-tą rocznicę obrony Lwowa: nabożeństwo z kościoła Matki Boskiej Ostrobramskiej we Lwowie oraz transmisje i reportaże z uroczystości.
12.03 Poranek muzyczny z Krakowa.
13.15 Muzyka obiadowa z Poznania.
16.30 „Strofy klasyczne" — poemat muzyczny R. Hahna.
17.00 Słuchowisko: „Słońce nad morzem".
21.20 Lekka muzyka fortepianowa w wyk. J. Kropiwnickiego.
22.20 Muzyka taneczna z Wilna.

Poniedziałek, 21 listopada.

15.30 Muzyka obiadowa z Poznania.
16.30 Recital fortepianowy Zbigniewa Grzybowskiego.
19.30 Koncert rozrywkowy z Krakowa.
21.00 Przemówienie Min. Poczt i Telegrafów inż. E. Kalińskiego.
21.10 Recital śpiewaczy Ady Sari.

Wtorek, 22 listopada.

15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa.
16.25 Pieśni Stanisława Niewiadomskiego.
17.00 Audycja śląsko-lwowska z okazji przyjazdu do Lwowa 3000 Ślązaków.
21.00 Transm. koncertu Stow. Miłośników Dawnej Muzyki.
22.00 „Temperamenty" — powieść mówiona Cwojdzińskiego.
22.15 Koncert z ok. 20-lecia obrony Lwowa.

Środa, 23 listopada.

17.00 „Polska a wojska okupantów w pierwszych dniach niepodległości" — odczyt.
19.00 Odgłosy Italji — koncert rozrywkowy.
21.00 „Opowieść o Chopinie" — „Polonezy".
21.45 „Temperamenty" — powieść mówiona Cwojdzińskiego.
22.00 „Napój miłosny" — opera Donizettiego.

Czwartek, 24 listopada.

15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa.
16.35 Debussy: Rapsodja na saksofon i orkiestrę.
17.00 Koncert muzyki operowej.
22.00 Najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich.
23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, 25 listopada.

15.35 Muzyka obiadowa.
16.30 Muzyka klasyczna z Krakowa.
16.55 „Starzy i młodzi" — felj. Kaden-Bandrowskiego.
18.30 Wypędzenie okupantów z Krakowa w listopadzie 1918 roku — fragm. książki Rusinka.
21.15 Koncert z Filharmonji Warszawskiej z udz. Zino Francescati.

Sobota, 26 listopada.

15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa.
17.10 Koncert kameralny z Krakowa.
19.20 Kapela Ludowa Dzierżanowskiego z udz. Szczepańskiej.
21.00 Potańczmy — koncert.
22.05 „Godzina niespodzianek".

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.